Nr. 9. Warszawa, dnia 14 (26) Lutego 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRACE SEJMOWE.

W nr. 7 *Prawdy* zsumowano ważniejsze i wybitniejsze zajęcia i uchwały zagajonego d. 28 grudnia, zamkniętego w d. 22 lutego sejmu lwowskiego — sięgające pod koniec pierwszego tygodnia bieżącego miesiąca. Od tego czasu przybyło na listę faktów sejmowych wiele nowych pozycyj, a wśród nich przeważają postanowienia, życzenia i wezwania wystosowane do rządu wiedeńskiego wskutek wniosków wyszłych od jednostek lub stronnictw. Na ostatnie dni działalności sejmu przypadły rozprawy i uchwały budżetowe i wyciągając, jak zawsze i wszędzie, z głów skargi na to, co jest, wyciągnęły też i z piersi wiele westchnień do tego, coby być mogło w porządkach publicznych Galicyi. Wogóle tegoroczne obrady sejmu we Lwowie odznaczały się lepszym niż dawniejsze porządkiem i niezależnie od doniosłości czynów i objawów wzbudziły zajęcie żywe a dodatnie — samą ważnością przedmiotów, powagą w ich roztrząsaniu i wreszcie jakby omdleniem tego sobkostwa klasy panującej, które dotychczas głównie porządny rozwój Galicyi tamowało.

W obrębie stosunków obu narodowości wniosek posła Wachnianina o równouprawnieniu języka rusińskiego z polskim *in pleno* sejmu nie znalazł uznania; w rozprawach wszakże utrzymała się zasada, że podania rusińskie powinny mieć i rusińskie też rezolucye. Sejm wezwał rząd do przestrzegania istniejących przepisów o języku rezolucyj wydawanych przez władze polityczne i skarbowe. Wachnianin żąda jeszcze, aby nauka języka rusińskiego była w szkołach galicyjskich obowiązkową. Sejm już dawniej zalecił był wydziałowi wprowadzenie jej do szkół średnich całego kraju. Rusin Zajączkowski dopomina się jej w szkole ludowej. W przedmiocie szkół poruszono kwestyę przymusu szkolnego, który istnieje więcej na papierze, niż w rzeczywistości. P. Bobrzyński, wice-prezes rady szkolnej, przez okulary nieomylności nie dostrzegł wielkiej różnicy między Czechami i Galicyą: wszystkiego 90,000 dzieci nie uczęszczają do szkoły, choć ją mają. Ale ile jej nie ma? ile obywa się bez nauczyciela, w ilu nauczycieli upatruje tylko chwili dogodnej na umknięcie? Gdy komisya wniosła, aby nauczycielom ludowym zniżyć liczbę lat do emerytury — o 5, do 35 — sejm 57 głosami przeciwko 47 odrzucił skromne dobrodziejstwo i pozostawił je tylko dla chorych — wspaniałomyślność!

Wezwano za to rząd do założenia średniej szkoły handlowej w Krakowie, do pomnożenia liczby seminaryów nauczycielskich ludowych o jedno. Bernadzikowski zażądał gimnastyki w szkołach ludowych, Goldman—szkoły nauczycieli religii mojżeszowej. Poseł Rotter rozwinął racyonalnie, ze znajomością rzeczy projekt nowej szkoły na miejsce istniejących gimnazyów klasycznych: klasy niższe byłyby wspólne dla obu kierunków: realnego i filologicznego, w V-ej zaczęłoby się nauczanie w obu tych kierunkach rozwidlać. Sejm polecił wydziałowi zbadanie sprawy ulepszeń szkolnych oraz systemu szkoły niższej, wspólnej dla wszystkich. Poseł włościański, Średniawski, krytykował szkołę w Dublanach, z rozsądkiem i wiedzą faktów. Po dawniejszej krytyce ta nowa niewiele już zostawiła racyi istnienia na dotychczasowych zasadach—zakładowi, który, prócz samych nauczycieli i uczniów, miał jeszcze przeciwko sobie i niefortunnie zaprowadzony internat. Wydziałowi krajowemu polecono rozpatrzeć projekt szkół realnych w Czortkowie i Krośnie, a upoważniono go do założenia szkoły sadownictwa w Zaleszczykach. Szkole w Białej dano 1,500 złr. jednorazowego zasiłku.

Komisya do wniosku Weigla (o piątą kuryę) zaleciła odrzucenie go. Sejm jej posłuchał. Szczepanowski chciał przynajmniej samą zasadę rozszerzenia praw ocalić; daremnie też bronił piątej kuryi Romanowicz. Najzawzięciej przeciwko wnioskowi demokratycznemu kopie kruszyli pp. Dzieduszycki, Tarnowski, Vivien i sam sprawozdawca, p. Górski. Podczas rozpraw Kulczycki zażądał wyborów bezpośrednich na wsiach, a Rusin Nowakowski wyborów bezpośrednich i powszechnych z uprawnieniem wszystkich pełnoletnich. Sejm przeszedł nad żądaniami temi do porządku dziennego. Za Nowakowskim głosowała część stronnictwa demokratycznego, stronnictwo ludowe i Rusini — razem 28.

Zajmujące były rozprawy budżetowe, rozpoczęte 15-go, ukończono 18-go lutego. Romanowicz wyśpiewał w nich łabędzi swój śpiew: wychodzi z wydziału krajowego, „aby się poświęcić publicystyce"— może, ale wychodzi też i z powodu nieporozumień. Dokonane przez niego przedstawienie stanu finansowego Galicyi odznaczało się wielką jasnością i szczerością. D. 15 b. m. Stadnicki ubolewał nad Austryą, cieszył się ze zgody obu narodowości, zalecał szczerą, rozważną uczciwość w stosunkach. Bernadzikowski, sternik ludowców, miał mowę świetną. Klasy wyższe, szlachtę, bogate mieszczaństwo, t. zw. inteligencyę, wezwał do zgody, braterstwa i pracy wspólnej z myślą o całości, a nie o cząstkach i odłamach. Połączenie obszarów dworskich z włościańskimi jest koniecznem. Duchowieństwo powinno się od walk stronniczych życia politycznego usunąć. Kraj pod względem ekonomicznym potrzebuje ulepszeń rolnych i przemysłowych, banku parcelacyjnego, taniego kredytu itd. Szczepański poparł wytworzenie gminy zbiorowej (przed 25 laty pogrzebanej), a uwagi, które powiedział o stronnictwach, bardzo surowe, nie były niesprawiedliwemi: Galicya nie ma stronnictw rzetelnie politycznych; ma tylko kastowe, geograficzne, wreszcie — sąsiedzkie. Piecze to, ale może wyjść na dobre. P. Górski zbijał Bernadzikowskiego: podżegacie lud, chcecie znieść własność średnią, bez której żyć niepodobna. Wogóle nie prześlizgiwano się po wierzchu, a zachowawcy bronili swych interesów z podniesioną przyłbicą.

Z pomiędzy rezolucyj, wydanych przez sejm, wspomnieć jeszcze wypada wezwanie rządu do wytworzenia w Galicyi miejscowej dyrekcyi dróg żelaznych. Sieć dróg galicyjskich wyrównywa jednej trzeciej ogólnej rozciągłości kolei przedlitawskich. Wymaganie chyba nie przesadzone.

Tydzień polityczny. Nareszcie cnota zatryumfowała nad grzechem. Przysięgli orzekli „winien," a sąd państwowy d. 23 b. m. skazał Zolę na *cały rok więzienia* i 3,000 fr. grzywien. Głównie oskarżony, wydawca - *gérant Aurore* — dostał od tych organów sprawiedliwości cztery miesiące i takież same grzywny. Szczegóły i uwagi — później.

Między Francyą a Anglią wybucha spór poważny o panowanie nad Nigrem, o krainy sułtana Sokoto i jego sąsiadów. Francuzi zrobili wyprawę na terytoryum wpływów angielskich. Między rządami naprężenie.

Izba gmin radzi nad bilem irlandzkim. Curzon usprawiedliwiał zajęcie Czytralu obawą potęgi rosyjskiej, osłanianą w słodkie słówka.

Między Bułgaryą a Turcyą stosunki nieprzyjazne.— Jako kandydata na gubernatora Krety dzienniki wymieniają ks. Witolda Czartoryskiego.

Komisya adresowa sejmu czeskiego uchwaliła adres wiadomy, ale sejm weźmie go pod obrady dopiero po uchwaleniu budżetu. Niemcy w każdym razie grożą wyjściem. Sejm dalmacki już odprawiony do domu — zażądał przywrócenia królestwa trójjedynego — jest to głos Kroatów — platoniczny, bo Węgry wzięłyby Dalmacyę chętnie, ale Kroacyi ani Slawonii nie oddadzą już — chyba zmuszone orężem. Cesarz unieważnił uchwałę sejmu istryjskiego, zabraniającą w sejmie mówić inaczej, niż po włosku. Wszędzie namiętności zwierzęce. Rada państwa ma się zebrać około 15 marca.

Stany Zjednoczone się zbroją.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NIEOBLICZONE STRATY.

Do szeregu poważnych klęsk społecznych i ekonomicznych kraju naszego zaliczyć trzeba kradzieże. Codzienne niemal doniesienia organów urzędowych tudzież korespondencye gazet dają smutny obraz warunków ludności wiejskiej, która ciągle jest pod grozą zorganizowanego rabunku i bezustannie składa haracz rozzuchwalonym rzezimieszkom. Najstraszniejszem, bo prowadzącem do zupełnej ruiny gospodarzy drobnych, jest koniokradztwo, które w wielu miejscowościach kraju nosi charakter działalności zorganizowanej bardzo sprężyście i sprawnie. Roku zeszłego korespondenci opisywali takie „przedsiębiorstwo" w gub. Kieleckiej. Banda złodziejska miała tam sprytnego kierownika, posiadającego stałą rezydencyę w pewnej miejscowości. Każdy o jego istnieniu i siedzibie wiedział, a więc gdy komu „wyprowadzono" konie, należało do niego jechać. Zawiadomiony o kradzieży otwierał regestr, gdzie wszystkie złodziejstwa były zapisane i odpowiadał np. w ten sposób: „Dwa lepsze konie (tu wymieniał maść) już są przeprowadzone za granicę; tych pan nie dostanie. Ale za inne dwa niech pan złoży 50 rs., to zwrócę. Jakoż istotnie zwracał. Jeżeli zaś czasem nie było już koni, to sumę wykupu „ze złodziejską sumiennością" oddawał. Za krowy wykup wynosił po 20 rs. od sztuki. Kradziono nie tylko dla zysku lecz i przez zemstę, za to jeżeli np. ktoś zawiadomił władzę wyższą o złodziejach, których nazwiska zna cała okolica. Większość skradzionych koni wyprawiano za granicę lub do kopalni dombrowskich, gdzie w podziemiach niełatwo było ich szukać.

Banda złodziejska najczęściej działa przez drobnych handlarzy wiejskich, którzy namawiają służbę dworską, ażeby dla nich wyprowadzała w nocy bydło lub konie. Za krowę płacą natychmiast w nocy rs 3, za konia 5. Krowy kradzione są najczęściej ludziom ubogim, gdyż do ich obór niezamczystych wstęp jest najłatwiejszy. Pokrzywdzeni nie zawsze nawet strat swoich dochodzą, bo to pociąga za sobą zbyt uciążliwe następstwa.

Powyżej podana charakterystyka jest mniej więcej obrazem warunków istniejących w całym kraju, o czem zresztą świadczy korespondencya z Nowomińska, umieszczona w nr. 6 *Prawdy*, tudzież fakty i uwagi niedawno podane w *Warsz. Dniew.* Zorganizowane bandy złodziejskie wszędzie trzymają pod grozą ludność wiejską, uczciwą, pracowitą i niezamożną. Zna ona wybornie wszystkich złodziei z nazwiska, pokazuje ich, wie gdzie mieszkają, a jednak nie może się pozbyć tej plagi.

Jeżeli złodziejstwo to, rozwielmożnione prawie jawnie w całym kraju, będziemy brali ze stanowiska ekonomicznego, musimy je ocenić jako poważny czynnik, zwię-

---

41

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Następnym z kolei był parobczak, któremu z twarzy przeglądało przygotowywanie się do jakiegoś szczególnego żartu.

W milczeniu zaczerpnął bałandy i dał Żyganowi. Zaledwie ten otworzył usta, parobczak krzyknął:

— Cyt! A modlitwy do Boga przed chlebem-solą zapomniałeś?

Żygan przeżegnał się.

— Nie tak! Na klęczkach, jak się należy!

Żygan ukląkł i zaczął mówić. Co on plótł! Nawet siedzący w pobliżu starzec, fałszerz pieniędzy, nie mógł tego znieść i splunął:

— Tfu! Paskudni!

Parobczak śmiał się do rozpuku.

— No, a teraz wedle porządku, nal — I podał pół łyżki polewki.

— Czy dosyć, co?

— Dzięki Bogu; on mię nakarmił; nikt mię nie widział, a kto widział, nie skrzywdził; dzięki Bogu syt zupełnie, zjadłem pół puda, zostało siedem funtów, te zjem jutro.

Parobczak trzymał się za brzuch.

— Oj, umrę! Ruszaj!

Następnym był poczciwy chłop rudy, z uśmiechem na całych ustach.

— Ach ty, głowo drewniana! — powitał on — chcesz, to ci dam tej bałandy, ile się zmieści. Chcesz?

— Wlejcie, ojcze!

— Nadstawiaj koryto!

Żygan podniósł głowę i otworzył usta; chłop nabrał pełną, dużą łyżkę polewki, ostrożnie doniósł i wlał.

Żyganowi konwulsyjnie drgnęło gardło, porwał kaszel, do twarzy krew uderzyła.

— Zalejesz, dyable! — krzyknęli chłopu świadkowie tej sceny.

— Odetchnie! — odparł, śmiejąc się całemi ustami.

Żygan zaledwie odetchnął, zapanował nad kaszlem i poszedł do następnego.

Był to fałszerz pieniędzy, poważny starzec, który w turmie uprawiał lichwę.

— Poczęstujcie, ojcze!

— Idź precz, parszywcze! — zawołał oburzony.

— Tylko tyle?

— Mówię ci, idź precz!

Żygan podparł się w boki.

Wszyscy obecni czekali z ciekawością, co będzie dalej:

— Ach, ty Asmodeuszu, synu Asmodeusza! — zaczął łajać starca — na trumnę zbierasz, na koszulę śmiertelną, na świecę...

— Ruszaj, mówię ci!

— Na miejsce dla ciała? Prędko, Asmodeuszu, synu Asmodeusza, będzie twój koniec. Nie zdążysz uzbierać...

— Precz!

— Zgnijesz, stary dyable, z głodu zdechniesz...

W tej chwili żygana chwycił za kołnierz posługacz („podduwało") Asmodeusza, syna Asmodeusza, powracający z wodą gorącą.

— Puszczaj — woła żygan.

— Nie wymyślaj!

— Bij go! — krzyknął rozweselony lichwiarz stary.

Ogromny chłop z całej siły uderzył żygana w twarz.

kszający koszty produkcyi i zarazem krępujący rozwój materyalny ludności wiejskiej. W pow. Nowomińskim, według wykazu urzędowego, jak donosi *Kuryer Warsz.*, w ciągu jednego tylko miesiąca (stycznia) skradziono koni z uprzężą 20 sztuk. Przyjmując tę cyfrę jako stałą normę w ciągu roku, otrzymamy 240 koni, których wartość (biorąc przeciętnie cenę jednej sztuki 75 rs.) uczyni pokaźną sumę strat 18,000 rs. rocznie w jednym tylko powiecie. Dodajmy do tego jeszcze uprząż, kradzież krów, wozów, produktów spożywczych, sprzętów gospodarskich itd., a będziemy mieli, jakeśmy rzekli powyżej, jedną z najpoważniejszych klęsk ekonomicznych, dotykających głównie ludność niezamożną i ubogą, a zarazem będzie to poważna pozycya nieobliczonych kosztów produkcyi. Drobny gospodarz liczy straty nieprzewidziane, jak gradobicie, suszę, deszcze nadmierne, pożary. Ale są to klęski żywiołowe, niestałe; można zresztą od gradobicia i pożarów zabezpieczyć się w towarzystwach asekuracyjnych. Inny zupełnie charakter mają kradzieże: są one już dziś u nas zjawiskiem stałem, codziennem, od którego nie zabezpiecza żadne towarzystwo asekuracyjne. Wprawdzie przed kilku laty proponowano gdzieś urządzenie takiej instytucyi; ale to więcej zakrawało na sarkazm, jako wypływ bezsilności mieszkańców wiejskich, pozbawionych ratunku i opieki w tej mierze. Ze względu tedy na ów odrębny charakter zjawiska powyższego, można je zaliczyć nie do strat nieprzewidzianych, lecz raczej do nieobliczonych kosztów produkcyi. Ta jedna pozycya rujnuje nieraz zupełnie drobne ubogie gospodarstwo chłopskie, którego podstawą jest koń i krowa. Taką podstawę można stracić w ciągu jednej nocy, a wtedy co począć? W niektórych miejscowościach, jak widzieliśmy, istnieje wykup: 25 rs. za konia i 20 za krowę. Na taką sumę nie zdobędzie się chłop ubogi, a zresztą gdyby ją nawet miał, to wolałby kupić jaką lichą chabetę i krowę wychudzoną. Ponieważ najczęściej gotówki nie posiada, więc staje się nędzarzem ostatecznym lub ofiarą lichwy.

Na ten czynnik ruiny ekonomicznej w takiem oświetleniu nie zwrócono dotąd u nas uwagi. Jakże jemu zapobiedz? — Środki ratunku leżą nietylko w warunkach ekonomicznych, lecz zarazem w społecznych, kulturalnych i administracyjnych. Chcąc złe usunąć stanowczo i na zawsze, należałoby te wszystkie warunki wziąć pod uwagę i rozwinąć odpowiednie przeciwdziałanie. Ponieważ trzeba byłoby tu dotknąć urządzeń wielostronnych i powikłanych, więc niepodobna marzyć o radykalnem wyleczeniu choroby. Wypada chociaż pomyśleć o jej złagodzeniu. Klęska to jedna z najstraszniejszych, bo rujnująca kraj ekonomicznie i moralnie. Dotychczas same tylko straty materyalne są tak wielkie, że umiarkowany od nich procent wystarczyłby na wzmocnienie straży i wprowadzenie w jej skład ludzi odpowiednich. Należałoby przedewszystkiem pomyśleć o usunięciu najdotkliwszych, najwidoczniejszych i najpowszedniejszych czynników, sprzyjających rozwojowi teroryzmu złodziejskiego. Należałoby wreszcie zupełnie skasować system skazywania złodziei na pobyt w pewnych miejscowościach, bo to właściwie nie jest karą dla nich, lecz dla niewinnej ludności, obdarzonej sąsiedztwem złoczyńców.

Przyspieszyć przedsięwzięcie powyższych środków obrony można byłoby między innemi w sposób następujący: Niech pokrzywdzeni kołaczą do władzy wyższej, niech nie pomijają milczeniem faktów, stwierdzających niezaradność lub obojętność tudzież związany z niemi rozwój złodziejstwa i rabunku. Dopóki ta biedna ludność będzie zachowywała się biernie, w skrytości utyskiwała, póty teroryzm złoczyńców będzie ją gnębił. Stałe wykazywanie i właściwe oświetlanie warunków w tej mierze mogłoby dać bodźce do rozwinięcia sprężystszych i racyonalniejszych środków przeciwdziałania. Pewien ruch w tym zakresie widzimy, bo oto niektórzy ziemianie z pow. Nowomińskiego, dręczeni nieustannemi kradzieżami, zwrócili się ze skargą do Gubernatora i Generał Gubernatora warszawskiego. Zanim zabiegi zbiorowe stworzą obronę społeczeństwa od złodziejstwa i rabunku wogóle, trzeba możliwie najenergiczniej działać w sprawie ukrócenia klęski najstraszniejszej — koniokradztwa. Jakiemi drogami można dojść do tego, pomówimy w numerze następnym.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 lutego.

Okiełznanie docentów prywatnych.

Ślusarz zawinił, a kowala powiesili. Profesorowie tutejszych uniwersytetów broili w przeciągu kilku ostatnich lat, krytykując i szykanując wścibstwo barona Stumma, „króla żelaznego,“ a tymczasem grzmoty jego gniewu mają spaść na głowy bezbronnych docentów prywatnych. Tego samego tygodnia, kiedy minister oświaty w uperfumowanych uprzejmością i wzruszających wyrazach na prywatnym pikniku wygłosił toast na cześć „wolnej literatury i wolnego ducha,“ ukazało się w gazetach urzędowych widmo kagańca przeznaczonego dla docentów, którzy za parawanem nauki uprawiają kult przewrotności polityczcznej. Zamiast zatamować źródło jadu społecznego, sączące się z ust lub ksiąg potentatów wiedzy niemieckiej, postanowił Stumm ze swymi kumami oddać pod nadzór młodych uczonych, prowadzących wykłady na własną rękę i odpowiedzialność za zezwoleniem władzy uniwersyteckiej. Chętnie kwitują poplecznicy barona z opinii Niemców jako „narodu myślicieli i poetów,“ wzruszają obojętnie ramionami, gdy im się zarzuca, że potęga która zatyka usta nauce, dyskredytuje i ośmiesza siebie samą. Nie mogą przecie oni pozwalać — wołają — aby dr. Arons, zięć Bleichrödera, demoralizował młodzież i zatruwał jej serca swymi wykładami o „elektro-magnetycznych metodach mierniczych,“ ten sam Arons, co w todze kapłana nauki pozwala sobie przyjmować udział w zebraniach, gdzie roztrząsają swe sprawy zasmoleni nietuzinkowi ludzie. Nadto inny mąż herezyi, wielce zasłużony dr. Jastrof, przed kilkoma laty wystawił

— Bij, bij! — wołał starzec.

— A więc ty tak?! Więc tak?!

Żygan powstał z podłogi, ale chłop schwycił go za włosy, przygiął do ziemi i bił po karku.

— Bij, bij! — ryczał wściekły starzec.

Katorga śmiała się.

— Zakąska! — trząsł głową i śmiał się do rozpuku parobczak.

Iwany mówią prawdę: „Żygan“ istotnie skończył sześć klas gimnazyum...

Nieraz pytałem: „Za co wy tak bijecie tych nieszczęśliwych?“ — i zawsze dawano mi z uśmiechem jedną odpowiedź:

— Po co pan o nich się kłopocze? Najgorsi ludzie. Na wszystko są gotowi!

Z tej właśnie kategoryi pochodzą „sucharnicy,“ którzy najmują się do roboty za lichwiarzy i szulerów. Oni także zamieniają się z długoterminowymi na nazwisko i los. Są to złodzieje i głodni zabójcy.

Pamiętam, opowiadał mi obecny oprawca turmy Aleksandrowskiej, Gołyński, jak zamordował na Sachalinie osiedleńca w celach rabunku:

— Uderzyłem go siekierą i sam z rozmachu upadłem... Osłabłem: trzy dni przed tem nic nie jadłem.

„Szpanka.“

„Szpanka“ jest to stado Panurga, zgnębiona masa katorgi, jej plebs, pozbawiony praw. Są to ci włościanie, którzy „przyszli“ za zabójstwo w nietrzeźwym stanie, podczas bójki w dzień świąteczny; są to ci zabójcy, którzy popełnili przestępstwo z głodu, z popędu surowej natury; są to ofiary niesnasek rodzinnych, nieszczęśliwi mężowie, którzy nie zdołali zbudzić u swych żon gorącej miłości dla siebie. Są to ci, których przygniotło spadające nieszczęście. Jedni cierpliwie niosą swój krzyż, innym zabrakło siły, odwagi i zuchwalstwa do zdobycia sobie pewnego stanowiska „w turmie.“ Są to ludzie, którzy odbywszy karę, mogliby znowu stać się uczciwymi i pracowitymi obywatelami kraju.

Dlatego to „Iwan,“ „chrap,“ „gracz“ i nawet nieszczęśliwy „żygan,“ mówią o „szpance“ z wielką pogardą:

— Czyż to aresztanci?! Tak sobie — „od sochy *) wzięci na pewien czas“ **).

Prawdziwa katorga, jej „czoło“: Iwany, chrapy, gracze i żygani, śmieją się ze szpanki.

— Czyż on nawet rozumiał, co robił?

Zupełnie szczerze nie poczytują ich za ludzi.

— Jakiż to człowiek? Jak bobak. Zwinie się i śpi!

Ludzie ci, zawsze głodni, mają dwa zajęcia: pracują i śpią. Wątli, źle odżywiani, licho odziani i obuci, przychodzą spracowani i „jak bobaki“ kładą się spać. Tak ich całe życie płynie.

„Szpanka“ pokorna, więc spełnia najcięższe roboty. Uboga, więc jej dozorcy żadnych ulg nie dają. Zgnębiona i cicha, a więc ci, którzy się boją zadzierać z „Iwanami,“ są wielcy i straszni, gdy mają do czynienia ze „szpanką.“ Wtedy — „niegodziwiec“ jak grom rozlega się w powietrzu. „Zabiję!“ „zgnoję!“ — padają pogróżki.

„Szpanka“ — to są ci, którzy śpią nie rozbierając się, w obawie, ażeby im nie skradziono ubrania. Pozostały na wieczór chleb chowają w zanadrze i tak cały dzień z nim chodzą, bo inaczej skradzionoby. Wracając z roboty człowiek taki nigdy nie jest pewny, czy jego kuferek stoi nie-

*) *Socha* — pług pierwotny (*przyp. tłom.*).

**) „Od sochy wzięci na pewien czas“ — tak się mówi o skazanych niewinnie. Ale tę nazwę pogardliwie katorga stosuje i do „szpanki.“

w niepochlebnem świetle teścia byłego ministra Berlepscha, wykazując nadużycia i nieporządki w jego zakładach górniczych. Gdy zaś minister w obu wypadkach zażądał natychmiastowego usunięcia z urzędu śmiałków, fakultet — *horribile dictu*—miał czelność zakomunikować uniżenie, iż nie może karać nauczycieli uniwersyteckich za czyny popełnione po za obrębem działalności akademickiej. Obaj docenci w swej specyalności uchodzą za poważnych uczonych; pod względem koleżeńskim trudno im cokolwiek zarzucić. Dowolnie usuwając obu, fakultet wykroczyłby przeciwko 20-mu artykułowi konstytucyi państwowej, który mówi, iż „wiedza i nauczanie są wolne.“ Minister Bosse, rozzłoszczony odprawą rogatych dusz, zwrócił się do uczonego starca, prof. Hinschiusa, który zjadł zęby na prawie... kanonicznem, z prośbą o wypracowanie memoryału w drażliwej kwestyi praw docentów. Potulny starzec w naszpikowanej cytatami pracy dowiódł ministrowi niezbicie prawowitości jego żądań. Powagi uniwersyteckie jak jeden mąż zaprotestowały przeciwko owemu wypracowaniu, wykazując jego sprzeczność z przyjętą dotychczas praktyką.

Wyrządzilibyśmy krzywdę pamięci byłych ministrów, twierdząc, iż krępowali się jakimikolwiek skrupułami, gdy trzeba było wykastrować duchowo rozbrykanego lub niemiłego luminarza. W swoim czasie pozbawiono urzędu profesorów Nauwerka i Brunona Bauera, a nawet odebrano katedrę niewinnemu poecie Hoffmannowi von Fallersleben, który wkrótce otrzyma pomnik na wyspie Helgolandzie. Od roku 1849 starano się jednak zasadniczo nie zadzierać z wszechnicami, szanując prawa autonomiczne tych „rzeczpospolitych.“ Korporacye te posiadają swe własne finanse i majątki, a nawet przysługuje im prawo obdarzania tytułem samego monarchy. Do ich przywilejów należy również nominacya docentów prywatnych. Fakultet udziela temu lub owemu nowicyuszowi naukowemu *veniam legendi*, o czem zawiadamia ministra. Nowy nauczyciel nie ma żadnych stosunków z rządem i podlega odpowiedzialności tylko przed władzą uniwersytecką. Urządzenie to wyszło na korzyść nauce niemieckiej. Virchow niejednokrotnie zaznaczał w parlamencie, że docenci prywatni stanowią chlubę uniwersytetów. Francya idzie obecnie w ślady Niemiec, starając się rozwinąć na szerszą skalę istytucyę tak zwanych „agrégés.“ Docentura prywatna jest cieplarnią dla hodowania uczonych, mających zluzować bojowników nauki, którzy ustępują z widowni. Łatwo zrozumieć, iż ta grupa akademików reprezentuje właściwie świeże i młode kierunki w nauce, nienadpsute pleśnią rutyny i zarozumiałości. Virchow w r. 1865 wprost nazwał docentów prywatnych jedynymi przedstawicielami wiedzy niezależnej. Czyż bowiem wolno byłoby wymawiać w świętych murach uniwersyteckich nazwiska Schopenhauera i Nietzschego, nienależących do cechu profesorskiego, gdyby nie młodzi docenci, którzy zwykle chwytają w lot nowe idee i wpuszczają nieco powietrza do stęchłej atmosfery siedziby mandarynów. Dühring dowiódł, iż profesorowie pomijają w swych wykładach najcenniejsze prace, jeśli autorowie zapomnieli im trochę pokadzić. Nie można zresztą żądać od statusiałego nieboraka z licznymi tytułami, mającego „stanowisko“ oraz żonę i dzieci, aby szedł przeciw prądowi i stawiał na kartę swą powagę. Całą sprawę zawieszonoby jednak na kołku, gdyby nie powstał mściciel i obrońca rządu w osobie barona Stumma, przyzwyczajonego kuć żelazo, dopóki gorące. Jest to przytem wielka satysfakcya wywrzeć złość na słabym, gdy silny wystrychnął nas na dudka. Poróżniwszy się z koryfeuszami nauki ekonomicznej, podszczuwa on przy każdej sposobności przeciwko mężom uniwersytetu i podsyca zaciekłość ministrów, gdy im opadają ręce w przeświadczeniu o niesłuszności podjętej sprawy. Baron Stumm radził wprowadzić prawo wyjątkowe przeciwko docentom. Nadaremnie minister w parlamencie wyślizgiwał się jak piskorz, nadaremnie wskazywał, iż audytoryum dr. Aronsa składa się z 5 lub 10 ziewających słuchaczów, którzy pod wrażeniem wykładu o zastosowaniu różniczek z pewnością nie rozniecą zarzewia przewrotu w państwie; baron wszakże nie wypuścił ministra ze szponów swych zarzutów, dopóki nie przyrzekł uroczyście wziąć się energiczniej do rzeczy. Wreszcie po długiem wahaniu sfabrykowano w ministeryum knebel na uniwersyteckich demonów buntu. W myśl nowoopracowanego projektu, ministeryum ma prawo kontrolować docenta, a ewentualnie pociągnąć do odpowiedzialności wbrew oporowi fakultetu. Profesorowie, stojący na straży majestatu *almae matris*, srożą się i protestują. Znany filozof i pedagog, prof. Paulsen, dowodzi, iż podobne prawo równa się zamachowi. Docent nie jest urzędnikiem, a ministeryum nie powinno mu narzucać swej kompetencyi. Można byłoby w najgorszym razie złożyć w ręce rektora i senatu „cenzurę moralności i prawomyślności.“ Że prawo wniesione obecnie do wstecznego parlamentu pruskiego ma widoki przejścia, nie zaprzeczy nikt, kto zna usposobienie tej instytucyi, liczące w składzie swym mnóstwo płazów Bismarkowskich. Znakomitsi tutejszej wszechnicy wystosowali pod adresem sejmu protest. Znany prawnik, Gierke, orzekł, iż nakładając pęta na docentów prywatnych, państwo powinno, nie chcąc dopuścić do uwiądu nauki niemieckiej, założyć wolne uniwersytety na wzór Belgii i Szwajcaryi. Ustawa jest ciosem dla korporacyj urzędowych uczonych. Profesorowie niemieccy, jak wiemy, nie odznaczają się ani samodzielnością przekonań, ani nadmierną odwagą cywilną. Na palcach można wyliczyć tych białych kruków, co odrywały się od swych foliantów i preparatów, aby wystąpić w obronie humanitarności, tak haniebnie poniewieranej w Niemczech. Tacy ludzie, jak nieboszczyk Giżycki, z żyjących filozof Nathorp, a chociażby Virchow, należą bezwątpienia do wyjątków. W razie atoli oddania pod kuratelę profesorów, uniwersytety stałyby się jedynem stadem pod dowództwem jedynego pasterza Stumma, a może — Schutzmanna.

H. F.

W sprawie kursów im. Baranieckiego.

Wyczytawszy w nr. 7 *Prawdy* artykuł p. t. „Atak wstecznictwa,“ dotyczący sprawy kursów imienia Adryana Baranieckiego a dowodzący zainteresowania tą kwestyą prasy warszawskiej, pozwolam sobie również wypowiedzieć kilka uwag, tem bardziej, że w owym artykule znajdują się ustępy, niezupełnie dokładnie informujące publiczność o obecnym stanie rzeczy.

Gmina miasta Krakowa, przyznać trzeba, dla oświaty wogóle, a dla kobiet w szczególności robi względnie dużo. Szkoda tylko, że w jej rozdziale wydatków znać rękę niefachową, czego prostem następstwem musi być niewłaściwe ich ustosunkowanie. I nie może być inaczej, dopóki w sprawie wykształcenia kobiet decydować będą kupcy, lekarze, technicy prawnicy, ekonomiści itp. Pedagoga bo'

---

tknięty na tapczanie, czy też rozbito go i zabrano cały zachowany w nim majątek.

Szpankę gnębią „Iwany,“ trzymają pod grozą i obdzierają chrapy, znęcają się nad nią gracze, okradają zgłodniali żygani.

Szpanka boi się każdego, całe życie drży, bo w tych więzieniach, gdzie powinni „poprawiać się i odradzać“ przestępcy, panuje gwałt, samowola „Iwanów,“ nieograniczona władza silnego nad słabym, niepoprawnego łotra nad człowiekiem dobrym w gruncie.

TYPY KATORGI.

Majdaniarze. — Gospodarze. — Sucharnicy. — Ślub. — Iwan. — Przejdzi - Świat. — Pchła. — Asmodeusze. — Ojcowie. — Babaje. — Kręceni. — Okruchozbieracze. — Kawałkarze. — Podduwały.— Gardłacze. — Cudza kolacya. — Kupno sinielnikowskie. — Wuj—Szopa. — Cham *).

Szare twarze i kapoty. Jaka na pozór jednolita masa katorżników! Ale gdy jej przyjrzymy się bliżej i poznamy życie, znajdziemy w tej masie szarej nieskończenie różnorodne typy. Zapoznamy czytelników z główniejszymi; z tymi, o których można powiedzieć, że „stanowią atmosferę turmy,“ tę atmosferę, w której rodzą się przestępstwa i zanika wszystko, co jest choć trochę uczciwe i dobre.

Jeżeli wejdziemy do więzienia podczas obiadu, rzuci się w oczy przedewszystkiem niewielki kuferek, na którym stoją butelki z mlekiem, leżą jaja gotowane, kawałki mięsa, chleb biały, cukier i papierosy. Można także być pewnym, że w pobliżu pod tapczanem są dobrze ukryte karty i wódka. To — „majdan.“ Przy tym bufecie widzimy postać—najczęściej Tatara *majdaniarza*. Dawniej, za czasów katorgi syberyjskiej, majdany utrzymywali wyłącznie włóczęgi. Katorga była tam bogatsza. Więzienie otrzymywało dużo datków. Ludzie uważają za święty obowiązek dawać jałmużnę „nieszczęśliwym,“ więc partya aresztantów, przeszedłszy pieszo przez wsie i miasta, przybywała na katorgę z pieniędzmi. Wówczas majdaniarze zarabiali w więzieniu tysiące. Oto skąd pochodzi dzisiejsza nienawiść i pogarda katorgi dla włóczęgów. Nienawiść ta jest historyczna, datująca się od strasznych czasów Razgildiejewa. Przechodzi ona z pokolenia na pokolenie. Katorga mści się na włóczęgach za krzywdy historyczne. Mści się za dawny ucisk, samowolę, zdzierstwo. Teraz władza pieniężna przeszła z rąk włóczęgów do Tatarów. Obdzierają oni ubogą katorgę sachalińską, jak tamci niegdyś „bogatą“ syberyjską. Oto przyczyna tej strasznej nienawiści dla Tatarów, której w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, gdy na spodzie okrętu aresztanci omało nie zabili Tatara za to tylko, że ten przypadkiem nadeptał komuś na nogę. Ta nienawiść plemienna ma podkład ekonomiczny.

Wszyscy ci bogacze sachalińscy, dostatni gospodarze, wskazywani z dumą, przeważnie wzbogacili się w więzieniu z majdana.

— Niedobrze! — strofowałem katorżnika, gdy ten opowiadał o zarznięciu pewnego osiedleńca dostatniego — wasz brat,

*) Wszystkich nazw niepodobna dosłownie przetłomaczyć, gdyż straciłyby one swój charakter. Majdaniarze (majdanszczyki) pochodzą od nazwy „majdan,“ której nie można w języku polskim określić jednym wyrazem; jest to bowiem na Sachalinie i bufet, i stragan, i kasa lichwiarska zarazem. Majdańczyk tedy jest właścicielem bufetu, straganu i lichwiarzem. Dlatego więc nazwy tej, jak i innych, nie będziemy spolszczali. Zachowujemy także, dla charakterystycznego brzmienia, „podduwałę“ (posługacza). *Przyp. tłom.*

wiem, znającego ten przedmiot, w składzie Rady niema ani na lekarstwo, w dodatku niema zwyczaju zasięgania opinii rzeczoznawców. Tak np. przy opracowaniu projektu prof. Kasparka, dotyczącego kursów Baranieckiego, nie zaproszono ani ich dyrektora, p. Rostafińskiego, ani żadnej z sił nauczycielskich. Doszło do tego, że prof. Rostafiński listem do prezydenta wystosowanym zwracać musiał uwagę na niewłaściwość decydowania o losie kursów bez pytania osób chyba najbardziej powołanych, jakimi są członkowie ich dyrekcyi.

Co do zapomóg, udzielanych przez gminę na rzecz oświaty kobiecej, to przedstawiają się one tak:

Szkole żeńskiej przy klasztorze św. Tomasza 1,200 złr.

Szkole żeńsk. przy klaszt. pp. Augustyanek 1,000 złr.

Szkole żeńsk. przy klaszt. Sióstr Miłosierdzia 200 złr.

Niemieckiej szkole przy zgromadzeniu córek Bożej Miłości 600 złr.

Dopłata do szkoły wydziałowej 2,220 złr.

Kursy uzupełniające przy szkole wydziałowej 3,560 złr.

Kurs handlowy 3,383 złr.

Kurs robót kobiecych 8,574 złr.

Wyższe kursy żeńskie im. Baranieckiego... pomyślisz czytelniku—przynajmniej 20.000, jako *wyższe*, potrzebujące laboratoryów, lepszych sił nauczycielskich itp. Omylisz się grubo, oto zaledwie 2,900 złr. rocznie zdecydowano wypłacać po gorącej walce, jaka wybuchła przed sześciu laty w Radzie.

I cóż dziwnego, że wobec rąk związanych brakiem środków materyalnych instytucya kursów „zamiast uwzględniać ducha czasu, grzęźnie w zacofaniu,“ jak się wyraziła w *Życiu* dr. Anna Wyczółkowska.

Biedny dyrektor, pragnąc związać koniec z końcem, zaczyna kursy w początkach listopada, a kończy z końcem kwietnia, zamyka program nauk przyrodniczych na *wyższych* kursach w 12 godzinach tygodniowo, bez *żadnych* laboratoryów. (Od czasu do czasu pokaże który z profesorów swoją pracownię lub przyniesie jakie ciekawsze a dające się przenieść okazy lub przyrządy). Chemia nieorganiczna cały kurs, wykłada się w 20 godzinach, organiczna również w 20. W zamian za całkowity brak chemii analitycznej (na kursach wyższych) wykłada się w drugim roku 20 godzin „chemii codziennego życia“ (?!). Fizyka jest bardziej uprzywilejowaną, w ciągu bowiem uczęszczania na *wyższe* kursy poświęcają jej słuchaczki 60 godzin. Tyleż godzin przeznaczono na botanikę, natomiast w ciągu 20, wyraźnie dwudziestu godzin, mają się słuchaczki wyższych kursów obeznać z mineralogią, geologią, biologią, hygieną, ekonomią społeczną (włączoną do nauk przyrodniczych?!), a w ciągu 30 z fizyologią wraz z początkami antropologii.

Jeżeli weźmiemy program pierwszej lepszej prywatnej pensyi żeńskiej w Warszawie, to zauważymy dużo obszerniejszy program. Pisząca te słowa przed 20 laty w daleko rozleglejszym zakresie słuchała zoologii, botaniki, mineralogii, a nawet fizyologii na pensyi Heleny Budzińskiej, niż dzisiejsze uczenice kursów Baranieckiego.

Nie winimy o to dyrekcyi, bo ta wobec braku środków niewiele zrobić może. Winimy natomiast zarząd miasta, że sprawę tę po macoszemu traktuje, nie uwzględniając potrzeb czasu, nie pytając o zdanie osób kompetentnych, oddając sprawy wykształcenia kobiet do referatu ludziom niewłaściwym. Jak mogą decydować w tej kwestyi pp. Zoll, ks. Spiss, Kasparek, Tarnowski, Chyliński i inni, którzy z jednej strony są nieprzygotowani, z drugiej stoją na stanowisku strzeżenia „świętego powołania niewiasty,“ trzymając się uparcie zasady, że im kobieta głupsza, tem godniej powołaniu temu odpowiada.

Jeszcze przed dwoma laty opracował obecny dyrektor kursów, prof. Rostafiński, projekt rozszerzenia ich i złożył go Radzie miejskiej. Zapytujemy ją, co się z owym projektem stało? Czy odpowiedzią nań był pomysł przyłączenia kursów im. Baranieckiego do szkoły wydziałowej i odjęcie im już tem samem cechy kursów wyższych?

Obecną dyrekcyę obwiniamy o jedno: mając mało środków, wiele robić nie może, to prawda, ale może i powinna o te środki się starać. Czy oprócz Rady miejskiej niema innych źródeł, skądby zapomogę dostać było można? Czy nie należało poruszyć opinii publicznej w celu wywarcia nacisku na Radę miejską, czy nie należało zapukać do sejmu i ministeryum? Jeżeli kursy robót kobiecych (o których wiele dałoby się powiedzieć *), mogły wydostać aż 8,500 złr. dotacyi, na co ministeryum daje 800 złr. rocznie, a sejm 500, to czyż kursy Baranieckiego nie mogłyby wykołatać choć połowy? Ośmielam się twierdzić, że one za mało leżą na sercu obecnej dyrekcyi i dlatego muszą chylić się do upadku. A zresztą nic w tem dziwnego; obecny dyrektor, nie licząc zajęć z profesurą uniwersytecką związanych, ma roboty naukowe, które go z natury rzeczy bliżej obchodzić muszą, ma wreszcie inne społeczne urzędy i stanowiska, to też resztki zaledwie swego czasu poświęcić może kursom. A tu potrzeba dyrektora lub dyrektorki, którzyby mając zapewnione utrzymanie, oddali się z całą energią tej sprawie, poświęcili jej czas, a co więcej — serce.

Wszak mamy coraz więcej kobiet, które pokończyły wyższe studya; czyż nie znalazłaby się z nich choć jedna odpowiednia na dyrektorkę? Sądzę, że jest to myśl, nad którą warto by się zastanowić i którą przyszły referent sprawy kursów Baranieckiego uwzględnić powinien.

W obecnej chwili sprawa ta zależy od referenta sekcyi szkolnej w Radzie miejskiej. Będzie nim, o ile się dowiadujemy, znany literat p. Kazimierz Bartoszewicz. To dodaje trochę otuchy, jest to bowiem człowiek znany z niezależnego sądu i jasnego poglądu na rzeczy. Przypuszczamy, że nie da upaść instytucyi, która ma za sobą tak piękną tradycyę z czasów założyciela i która bądź co bądź wypuściła 25,000 słuchaczek. Wstyd i hańba byłaby Krakowowi, gdyby w czasach, kiedy podobne zakłady powstają gdzieindziej (we Lwowie i Wiedniu kursy akademickie dla kobiet), pogrzebał swoje kursy, którymi się niegdyś słusznie szczycił!

Kl—icz.

*) Rozmaite mereszki, stębenki z odliczeniem nitek w płótnie, hafty wszelkich narodowości i inne psacia oczu wyłącznie mające na względzie *praktyczne* roboty są tu „con amore“ uprawiane.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Skutki monopolu.

Jak wielka zmiana w stosunkach ekonomicznych, jaką jest wprowadzenie monopolu wódczanego, nie da się po kilku tygodniach obliczyć we wszystkich rezultatach i następstwach. Nieprędko też zapewne będziemy mogli

---

pracą, potem i krwią zarobił, a wy zabiliście go!

— Pracą! — zaśmiał się katorżnik — niech wielmożny pan ich nie żałuje! Pracą! Przy mnie w więzieniu majdan utrzymywał; iluż z jego powodu zginęło ludzi!

Majdan — jest to bufet, szynk, sklepik z tytoniem, dom gry i źródło dochodu turmy. Daje ona prawo utrzymywania tego zakładu. Zwykle majdan jest oddawany przedsiębiorcy z licytacyi na jeden miesiąc — pierwszego. Majdaniarz płaci po 15 kopiejek każdemu aresztantowi izby, jeżeli grają u niego tylko w „preferansa aresztanckiego,“ i 20 kop., jeżeli nadto grają w sztosa i „konczynkę.“ Prócz tego majdaniarz musi nająć po (1 rs. 50 kop.) dwu „komorowych,“ zwykle najnieszczęśliwszych żyganów, których obowiązkiem jest wynosić „paraszę,“ zamiatać, a raczej z miejsca na miejsce przesuwać śmiecie, myć turmę, czyli rozwadniać i rozmazywać błoto.

Majdaniarz musi także trzymać *stremszczyka*, który za 15 kop. dziennie stoi przy drzwiach i ostrzega:

— Duch! — jeżeli idzie dozorca.

— Drąg! — jeżeli władza.

— Woda! — jeżeli wogóle grozi jakie niebezpieczeństwo.

Za to wszystko turma obowiązana jest bronić interesów majdaniarza i śmiertelnie bić każdego, kto nie płaci mu należności. Turmie nic do tego, w jakich warunkach towarzysz stał się dłużnikiem majdaniarza. Woła on:

— Cóż wy, tacy owacy, pieniądze ode mnie wzięliście i nie bijecie?

I więzienie bije okrutnie:

— Zadłużyłeś się, więc płać!

Najzyskowniejszy i najlepszy towar majdana — wódka. Cena jej waha się, stosownie do miejsca i okoliczności. Zwykle butelka słabej okowity w więzieniu poprawczem kosztuje od rs. 1 do 1 rs. 50 kop. Wódka taka, rozprowadzona wodą, zostawia w ustach tylko niemiły posmak. Z tego powodu spierałem się z najstarszym katorżnikiem na Sachalinie *), dziadkiem katorgi rosyjskiej, Matwiejem, synem Wasyla Sokołowem.

Ceny innych produktów w majdanie są następujące: butelka mleka, nabywana przez majdaniarzów po 3—4 kop., kosztuje po 5 kop. Jajko — 3 kop, (nabywają do handlu po rs. 1 kop. 20 setka). Funt chleba białego sprzedają po 6 kop. (kupują po 4 k.). Wieprzowinę (innego mięsa w więzieniu niema; krów osiedleńcy nie sprzedają, gdyż potrzebne są w gospodarstwie) gotowaną, pokrajaną na kawałeczki po $^1/_8$ funta sprzedają po 5 kop; surową — po 20—25. Kawałeczek cukru — kopiejka, papieros — kopiejka.

To wszystko za gotówkę. Można sobie wyobrazić, po jakich cenach produkty owe są sprzedawano na kredyt! Głównem źródłem dochodu majdanów, jak i klubów naszych, są karty. Majdaniarz bierze po 10% od bankiera i 5% od pontera. Po za tem majdaniarze trudnią się jeszcze lichwą, kupnem i sprzedażą rzeczy skradzionych. Wszystko, co tylko turma zdobędzie, czy to z kradzieży, czy zarobku, czy z zabójstwa, przechodzi w końcu do rąk majdaniarza.

(D. c. n.).

*) Pięćdziesiąt lat w katordze, trzy „wyroki dożywotnie.“

ją rozebrać i ocenić, zanim statystyka dostarczy nam dla niej odpowiednich miar i wag. Tymczasem dostrzegamy tylko objawy pojedyncze i skutki natychmiastowe. Do najwidoczniejszych należy bezwątpienia przewrót w stosunkach spożywczych wsi. Miasto, a zwłaszcza miasto większe, nie odczuło monopolu w swoich potrzebach codziennych. Każdy może dostać wódki i piwa, jak dawniej, a jedyną różnicą jest to, że musi nieraz udać się do sklepu bardziej oddalonego. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa na wsi. Tu sklepy i karczmy znajdują się w odległościach kilkomilowych, o kupnie więc cząstkowem niema mowy i trzeba sprowadzać zapasy. Każdy dwór wiejski musi się zaopatrzyć nietylko w większą ilość wódki, ale także piwa. Z pierwszą łatwiej, ale drugie nastręcza poważniejsze trudności. Nabywać je w butelkach — za drogo, w antałkach — niewygodnie. To też piwo prawie zniknęło we wsiach. Dlaczego ono padło ofiarą monopolu *wódczanego* — jest to dla nas niejasnem i w odnośnych przepisach nie znajdujemy rozwiązania zagadki. Ponieważ zaś produkt ten jest bardzo poważnym artykułem naszej konsumcyi i posiada niewątpliwą wartość odżywczą, więc należałoby jego prawa rynkowe wyświetlić w dyskusyi publicznej. Dotąd jeszcze chłop, odsunięty od karczem i szynków uprzywilejowanych, zapija swój posiłek „kwasem," ale on długo na tym kwasie nie poprzestanie i będzie szukał trunku mocniejszego, zawierającego bodaj trochę alkoholu. Nie ulega wątpliwości, że go prędzej czy później znajdzie na drogach sprzedaży tajemnej, która zawsze jest niepożądaną, gdyż pozbawiona kontroli posługuje się wszelkimi sposobami fałszerstwa.

Wogóle rzec można, że monopol wódczany nie został jeszcze należycie przykrojony do potrzeb miejscowych.

Ochrona zdrowia.

Niczego tak mężnie nie bronimy, jak tradycyjnego niechlujstwa. Przypomnijmy sobie tylko, jaka to żałoba okryła kamieniczników warszawskich, gdy ich zmuszono do utrzymywania większego porządku w domach. Poprostu czuli się oni przez to zagrożeni w swych „najświętszych prawach własności." Niewątpliwie brud jest także własnością, ale różni się od innych tem, że nie każdy chce być nim obdarowany. Jeszcze mniej amatorów znajduje zwykle połączona z nim zaraza, a jednakże są zwolennicy swobodnego jej udzielania się. Ktoś w *Kuryerze Warsz.* rzucił myśl nałożenia obowiązku czystości na zakłady fryzyersko - felczerskie i poddania kontroli lekarskiej pracowników tego zawodu. Ktoś inny oburzył się w *Kuryerze Codz.* na to ostatnie wymaganie, zaznaczając, że przecież żadnym rewizyom nie podlegają osoby zajęte w innych przedsiębiorstwach (restauracyach, piekarniach itp.). Jest to prawda, ale nigdy jedno złe nie usprawiedliwia drugiego. Cokolwiek dzieje się gdzieindziej, pozostaje faktem, że nas czeszą, golą, tj. dotykają rękami ludzie, których zdrowie nie przedstawia żadnej rękojmi i którzy często są obciążeni chorobami zaraźliwemi; że używają tych samych grzebieni, szczotek i brzytew, któremi może przed chwilą operowali na głowie syfilityka, liszajowatego, świerzbowatego itd. Każde posiedzenie w zakładzie fryzyerskim jest ryzykiem i po każdem trzeba dziękować losowi, że nas uchronił od nieszczęścia. W tym, jak w wielu innych wypadkach, przyzwyczailiśmy się do tradycyjnego niechlujstwa i ono nas nie razi; ale od czasu, jak nas baktoryologia zaznajomiła ze światem drobnoustrojów i ich zaraźliwością, aż strach pomyśleć, na co my ciągle narażamy się w rzeczach, w których narzędzia nie są poddawane żadnej dezinfekcyi. Zamiast powoływać się na bezkarność innych brudów, trzeba usuwać te, na które wreszcie padła nasza uwaga.

Zmarli artyści.

W przeciągu kilku tygodni straciliśmy trzech wybitnych artystów: Maleszewskiego, Löfflera i Kurzawę. Pierwszy z nich, chociaż wiekiem najstarszy, do ostatniej chwili nie wypuszczał pędzla z ręki. Był to malarz bardzo czynny, w twórczości swojej zbyt dbały o gładkość i zewnętrzną — że tak powiemy — politurę płócien swoich, ale przyznać mu trzeba tę zasługę, że umiał wytrwać w pracy na bardzo jałowym dla sztuki gruncie warszawskim i zdobić go barwnymi kwiatkami talentu. Löffler przeżył dawno okres swej sławy — jako twórca obrazów żołnierskich — i w ostatnich latach życia nie przypominał się publiczności. Kurzawa przeszedł swą kolej ciernistą zbyt wcześnie i stosunkowo bezpłodnie. Nie należymy do tych entuzyastów, którzy czekają tylko na śmierć lub jakiś wypadek artysty, ażeby go w tej chwili ogłosić zapoznanym geniuszem i rzucić jego niedolę lub zgon na sumienie ogółu. Tak zrobiono z niedocenionym naprzód a przecenionym później Podkowińskim, gdy ten wykrajał z ram swój „Szał" na wystawie a wkrótce umarł, tak zrobiono również z Kurzawą, gdy rozbił swego „Mickiewicza." Znaleźli się estetycy, którzy nie zastanowiwszy się ani na chwilę, czy taki Mickiewicz mógł był stanąć w pomniku, zapewniali uroczyście, że w nim zginęło arcydzieło sztuki monumentalnej, a jego twórca zasłużył na wawrzyny M. Anioła. Była to zwykła nasza przesada, podskok wiecznie huśtającej się naszej opinii publicznej, która to gwałtownie spada na dół, to wznosi się do góry. Odgarnąwszy te puste słowa chwalby, przyznać trzeba Kurzawie duży i — co ważniejsza — oryginalny talent. Dość spojrzeć na jego dwie znane grupy: „Oberek" i „Polonez," ażeby dostrzedz w nim niepospolitą i świeżą siłę. Na nieszczęście przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne sprzysięgły się na zniszczenie tego talentu, który ledwie zabłysnął, zaczął szybko gasnąć. Przy rozpamiętywaniu tego smutnego żywota nasuwa się nam pytanie: czy to jest objawem naturalnym, czy też przypadkowym, że zdolności rzeźbiarskie wyłaniają się u nas z ludu? Kurzawa, Jarzymowski, Laszczka, a obok Biegasa wystąpiło podobno znowu kilku prostych chłopców, okazujących talenty snycerskie, którzy kształcą się u Laszczki. W każdym razie fakt godzien zastanowienia.

Walka o „młodzież."

Jak pod działaniem prądów elektrycznych rozkładają się i łączą ciała chemiczne, tak pod wpływem prądów umysłowych rozpadają się i organizują ciała społeczne. A w żadnej może epoce te procesy nie odbywały się wyraźniej, niż w obecnej. Wszakże niedawno jeszcze pod wyrazami: „naród," „młodzież" itp. rozumieliśmy coś duchowo jednolitego, niemal pierwiastki, połączone tylko mechanicznie z przymieszkami w postaci rud, z których je łatwo wytopić. A dziś! Co to jest „naród"? Mieszanina najrozmaitszych żywiołów, często niemających między sobą żadnego powinowactwa i wzajemnie sobie wrogich. Podobnie „młodzież." To już nie jednorodna masa, ożywiona wspólnym zapałem, wyprzedzająca starszych swojemi marzeniami i pragnieniami, postępowa, lekceważąca względy praktyczne i zapamiętale rozkochana w ideałach; to miniatura społeczeństwa, podzielonego na klasy, w których dojrzewają zalążki interesów, to arystokraci, demokraci, wstecznicy, postępowcy, karyerowicze, marzyciele itd. Dzięki właśnie temu nieuświadomieniu sobie różnic, wpadamy ustawicznie w nieporozumienie. „Młodzież akademicka" w Galicyi wysłała telegram z wyrażeniem czci dla Zoli. Nieprawda!— krzyczą dzienniki klerykalno-antisemickie, bo „młodzież akademicka" nie solidaryzuje się z „garstką" swoich kolegów. „Młodzież akademicka" w Krakowie upadła do nóg prof. Korczyńskiemu za to, że został „hofratem." Nieprawda!—wołają pisma radykalne, bo „młodzież akademicka" pamięta dobrze, co ten „zacny przewodnik" zrobił przed kilku laty z jej towarzyszami. Powstaje gwar, kłótnia, rozdzieranie między sobą wyrazów i sztandarów, słowem chroniczna awantura. A tak łatwo jej uniknąć, jeżeli się tylko zaprzestanie używać tytułu „młodzież" w znaczeniu ciała jednolitego i rozczłonkuje go na części składowe. Zacznijmy mówić i pisać: „grupa młodzieży wolnomyślnej wysłała telegram do Zoli"; albo: „grupa studentów karyerowiczów, czy tam klerykałów, uczciła hofrata Korczyńskiego"—znikną nieporozumienia i wszystko będzie w porządku. Wtedy okażą się niepotrzebne wiece, uchwały, listy otwarte i tym podobne protesty, którymi tak zawrzał światek akademicki w Krakowie. Czyż szlachetni młodzi marzyciele, którzy radziby we wszystkich swych towarzyszach widzieć dusze płonące ich czystym ogniem, sądzą, że świecące zamiast tych dusz próchna są tylko złem chwilowem? Niech się nie łudzą.

Kąpiele ludowe.

Do niezwykłych, niecodziennych faktów z naszej hygieny społecznej zaliczyć należy otwarcie pierwszych kąpieli ludowych w Warszawie, o które przez długie lata kołatano. Westchnienia i zabiegi stały się wreszcie czynem — niewątpliwym. „Przypominano ustawicznie całemu społeczeństwu, że lud i robotnicy mieszkają w brudzie, zarażają powietrze ubraniami, nasiąkłemi kurzem i potem, tracą zdrowie i siły, energię i sprawność, przyuczają dzieci do brudu i szerzą choroby zaraźliwe." Tak pisze jeden z gorących inicyatorów, dr. Tchórznicki. Nareszcie obudziła się chęć czynu. Najpierw stworzono „wydział tanich kąpieli przy warszawskiem Tow. dobroczynności" i dopiero potem projekty i rozprawy przybrały formę określoną. Społeczeństwo oświecone i przemysłowcy, obojętnie słuchali nawoływania prasy i możeby dotychczas ów groch padał na ściany tych, którzy mogą zachować czystość fizyczną, gdyby nie ofiara p. Stanisława Rotwanda. Dzięki temu zasiłkowi pierwsze natryski pod nazwą „Janiny" otwarto d. 12 lutego. Kąpiele, według opisu dr. Tchórznickiego, tak się przedstawiają: „Budynek drewniany piętrowy na murowanym fundamencie, długi 22 łokcie, szeroki 11, wysoki 5½; od strony tylnej w środku zbudowano wieżyczkę w rodzaju pierwszego piętra, 7 łokci długą, 4½ szeroką i 5 wysoką, dla umieszczenia żelaznego zbiornika z wodą. Ściany zewnętrzne są podwójnie szalowane, dach pokryty papą, sufit szalowany, podłoga w kabinach betonowa, w kurytarzach i wannie terakotowa z fabryki opoczyńskiej. W oddziale męzkim 8 kabin natryskowych, w żeńskim 3 (2×2 łokcie szerokie). Pokój z wanną (4×4 ł.) i składzik czystych ręczników (2×2 ł.). Poczekalnia i waterklozet, kasa wspólna. Oprócz tego pokoik dla dozorcy i pokoik dla przyrządu ogrzewalnego (4×4 ł.). Dalej miejsce na skład brudnych ręczników i węgle. Z frontu weranda, która ma być oszklona i zamieniona na większą poczekalnię. Do budynku prowadzi chodnik betonowy."

Rozumiemy zachwyt szczerego hygienisty z powołania i uczucia, który mówi: „Otwarcie „kąpieli ludowych" stwierdza fakt, *że przekonanie o ich potrzebie dojrzało*, że społeczeństwo weszło na drogę właściwą, *że nastała era kąpielowa* i że wiek dwu-

dziesty będzie urzeczywistnieniem idei „przyjaciół zdrowia,“ tryumfem hygieny jako nauki, wprowadzonej w życie jednostek i całych mas ludności. Że jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio wpłynie to na zmniejszenie klęsk, spowodowanych przez choroby zaraźliwe, i otarcie łez z powiek tysięcy jednostek, dziś za winy obojętności na kwestye zdrowia opłakujących swych najdroższych.“

Ale nie możemy razem z nim uznać doniosłości *społecznej* faktu pojedynczego i nazywać go *erą*. Kąpiele ludowe—to jest drobny szczegół obowiązku społecznego, Nie powinny one być czynem, łaską dobroczynności, lecz *koniecznością*. Czy jednak kąpiele te same przez się uzdrowotnią całkowicie te żywe podstawy rozwoju przemysłu i wszelkich przedsiębiorstw? Są one zaledwie drobiazgiem hygieny pracy. Pozostaje jeszcze ogrom warunków, których całkowite wykonanie dopiero może być *erą* zapanowania hygieny. Dopóki te *główne* warunki nie będą uwzględnione, póty kąpiele ludowe można uważać za taki środek, jakim jest plasterek angielski na brudnej, jątrzącej się ranie.

Resursa rzemieślnicza.

Oddawna projektowana i wielce potrzebna instytucya jest na drodze do czynu. Dzięki zabiegom pp. Karola Szlenkiera i Aleksandra Makowieckiego, zwołano narady, których uczestnicy stali się zarazem członkami-założycielami przyszłej resursy rzemieślniczej. Poniekąd za wzór wzięto ustawę „Towarzystwa newskiego zabaw ludowych,“ założonego w Petersburgu 1886 r. Podobno nowa instytucya u nas ma być oparta nie na zasadzie samopomocy rzemieślników, lecz na podstawach „przedsiębiorstwa filantropijnego,“ rozporządzającego kapitałem, zgromadzonym doraźnie za pomocą udziałów (po 250 rs.). Cały fundusz, niezbędny do założenia resursy, wyniesie co najmniej 50,000 rs. Suma stosunkowo niewielka, którą przy energicznych zabiegach można chyba zebrać. Kapitał zakładowy, w ten sposób zgromadzony, spłacony następnie ze składek uczestników (10 rs. rocznie). Zatem pierwotni właściciele udziałów, aż do zupełnej spłaty kapitału, byliby wierzycielami resursy. Udziały mają być spłacane stopniowo, przez losowanie coroczne w zakresie uchwalonym na ogólnem posiedzeniu Towarzystwa, stosownie do stanu funduszów. Resursa rzemieślnicza w Warszawie nie mogłaby całkowicie bez zmiany przyjąć ustawy instytucyi petersburskiej, ze względu na odmienne warunki i w pewnej mierze — potrzeby. Zadania zasadnicze będą jednak takie same, a więc: teatr stały i amatorski, ogród z kręgielnią, karuzelem i placem do zabaw dla dzieci oraz śpiewy chóralne, koncerty amatorskie, czytelnia, odczyty popularne, obrazy niknące i inne rozrywki towarzyskie, artystyczne, naukowe, sportowe i — restauracya. Instytucya ta, wykluwająca się z długoletnich projektów, nigdy nie była tak pilną, jak obecnie, po wprowadzeniu monopolu wódczanego. Miasto nasze liczy wielotysięczne rzesze rzemieślników, posiadających jakie takie ukształcenie elementarne. Po za pracą i domem nie mają oni nic, coby choć w drobnej cząstce mogło zaspokoić ich potrzeby umysłowe i towarzyskie, odciągnąć od szarzyzny życia i jego strapień, rozwinąć lub rozbudzić lepsze pierwiastki duszy. Dlatego też należy usilnie popierać zabiegi w sprawie założenia resursy rzemieślniczej.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

PSEUDO-POWAŻNE KIERUNKI.

Kazimierz Zalewski: *Ogniwa*, sztuka w czterech aktach.

Kto chce przemawiać do społeczeństwa słowem, pędzlem lub tonem, ten musi być z krwi, z kości i z ducha jego synem. Musi położyć jedną rękę na jego sercu i wyczuć najtajniejsze tętna, a drugą na jego czole i odgadnąć, o czem to społeczeństwo myśli. Kazimierz Zalewski wykazywał przez dwadzieścia pięć lat swej działalności komedyopisarskiej, że dla zajęcia pierwszorzędnego stanowiska w literaturze widowiskowej nie potrzeba tego wszystkiego. Do zdobycia laurów wystarczyła mu znajomość literatury francuskiej, duża doza cywilnej odwagi, wiele zręczności i brak współzawodnictwa. Zalewski wie, że laury na jego głowie szumią papierem, ale mu i takie wystarczają, gdyż i to wie, że jest wilkiem scenicznym o wprawianych zębach.

Może kiedyś, gdy geniusz dramatyczny pozrywa więzy szablonów i wtargnie zwycięsko na scenę naszą, ujrzymy w całej pełni, jak smutnym i wstecznym był ów ćwierćwiekowy okres panowania Zalewskiego. Był on jednak zanadto biegłym stosunkowiczem, aby panowania swego nie oprzeć na wyraźnie określonych podstawach. Popierwsze ujął on ster krytyki w najpoczytniejszym dzienniku i tem samem jak zręczny pająk usidlał muchę opinii, która brzęczała w takt jego uścisków, powtóre wprowadził do komedyi tak zwane „kwestye“, błyszczące wszelkimi pozorami istotnych zagadnień społeczno-obyczajowych; pomysł ten wziął od francuzów. Ale wiedział doskonale, że tem trafi do gustu publiczności; ta bowiem zawsze udaje, że ją poważne kwestye obchodzą; istotnie poważne jednak odtrąca z niechęcią; trzeba przeto udawać, że się wybrało kwestye poważne i traktuje je poważnie. Trzeba udawać, ciągle udawać!

Na wstępie zmuszeni jesteśmy stwierdzić fakt niezbity, że społeczno-obyczajowo komedye Zalewskiego z obyczajnością naszej społeczności nie mają nic wspólnego. Gdy z pod pióra współczesnych naszych pisarzy wyległy całe galerye żywych, barwnych, charakterystycznych postaci, z pod pióra Zalewskiego nie wyszła ani jedna. Wprawdzie udało mu się, podobnie jak wędrownemu fotografowi, uchwycić tu i owdzie jakąś scenkę z życia klasy burżuazyjnej, która w tece osobistych wspomnień może być zupełnie na właściwem miejscu, ale to jeszcze nie twórczość i nie malowanie. Zalewski nie wniósł posagu w naturze, żeniąc się z teatrem; natomiast starał się ukryć, iż ma hypotekę pomysłów obciążoną pożyczkami francuskiemi.

Można się spierać o to z norwegczykami, czy literatura francuska doby ostatniej stanowi kierunek zdrowy, czy niezdrowy, lecz jest bądź co bądź kierunkiem. Natomiast ślepe kopiowanie nietylko że nie jest i nie było nigdy żadnym literackim kierunkiem, lecz jest i pozostanie jedynie znamienną cechą upadku literatury. Zalewskiego nazywano ojcem komedyi polskiej. Historya jednak wykaże, że on był tylko ojcem okresu jej upadku. Wydawaćby się mogło, że przystępując do oceny sztuk Zalewskiego, ma się prawo i obowiązek brania bądź co bądź jakiejś większej miary. Nie potrzeba bynajmniej korzystać z tego prawa i wystarcza jedynie dmuchnąć zdrowym rozsądkiem w te pałace z kart, aby one runęły, jeżeli tam wogóle prócz tekturek był jakiś materyał budulcowy. Zastrzegamy się, że mówimy w ten sposób nietylko o sztukach Zalewskiego, granych w Warszawie, ale i o tych, które tu grane nie były.

W „Ogniwach“ Zalewski streścił się bezwiednie. W utworze tym doprowadził on do zenitu kunszt świecenia sztucznymi blaskami. Sięgnął on do zawikłań obyczajowych kwiatu inteligencyi, człowieka idei, uczonego. Wprowadził na scenę bakteryologa, który jest lichym mężem i lekarza, który jest lichym bakteryologiem. Wypadło jednak jakoś tak, że i bakteryolog bardzo licho filozofuje w tej dziedzinie wiedzy i lekarz postępuje w ten sposób, jak gdyby nie był lekarzem, lecz ostatnim fuszerem. Nawet to trochę wstyd, jeżeli pierwszorzędny autor tak się o tych kwestyach wyraża, jakby się nie wyrażał student po pierwszym kursie medycyny. Lecz idźmy dalej. Uczony miał żonę i synka Stefanka. Żony nie kochał, bo zajmował się bakteryologią; kochał natomiast syna — dlaczego nie wiemy. Usiłuje nam wprawdzie wyjaśnić lekarz, że kocha w nim potomka rodu i dziedzica sławy; lecz ani w jednej scenie aż do końca tego melodramatu nie widzimy, aby bakteryolog miał jakieś szusy rodowe lub myślał o sławie. Przeciwnie — o rozgłos nie dba wcale. Po dziesięciu latach żona zbuntowała się i przypięła mu rogi. Przez rok romansowała z kimś na dalekim świecie, lecz po roku zatęskniła za Stefankiem. Bakteryolog pozwala jej wrócić, lecz siedząc nad preparatami, wymyśla następującą zemstę.

W kole przyjaciół rozgłosił, że żona sfiksowała i leczyła się za granicą; obecnie wyzdrowiała i powraca. Drugim aktem zemsty jest to, iż wolno jej wrócić, ale nie w charakterze żony, lecz jedynie matki Stefanka. Taka zemsta, to nie zemsta, lecz patos melodramatyczny. Gdyż zwalnianie kobiety niekochanej i niekochającej z obowiązków małżonki jest zemstą kwalifikującą się do humoreski, a nazywanie takich szpetnych, jednorocznych rogów bzikiem żony, toż to nawet i w aktorze pod tragiczną maską śmiech budzić musi. Pani bakteryologowa nie rozumuje jednak w tak korzystny dla siebie sposób, nie parska mężulkowi śmiechem w oczy, lecz szepcze grobowym głosem: „To kara!“ i krokiem dramatycznym schodzi ze sceny do Stefanka. Następuje antrakt, w którym Stefanek rośnie jak na drożdżach, z dziesięciolatka zamienia się na dwudziestosiedmioletniego mężczyznę i zaręcza się z Cesią Chromięcką; a małżeństwo bakteryologiczne siwieje i starzeje się odpowiednio do tego przydługiego antraktu. W drugim akcie dowiadujemy się, że Stefanek jest niepospolitością matematyczną, ale niepospolitością jakoś wiecznie smutną, którą chyba wesoła Cesia rozweseli. Ślub ich ma się odbyć za cztery dni. Przyjaciele postanawiają urządzić smutnemu Stefankowi wesołe pożegnanie kawalerskie, a równocześnie lekarze jego ojcu bankiet. Akcya prosi się o przejście do trzeciego aktu, lecz autorowi chodzi jeszcze o scenę duetu miłosnego, stanowiącego liryczne intermezzo w dramacie. Usuwają się tedy osoby niepotrzebne i pozostaje na scenie Stefanek z Cesią. I tu rozpoczyna się jeden z najbanalniejszych duetów miłosnych, jakie kiedykolwiek w literaturze naszej popełniono. Widz właściwie nie wie, po co się ta Cesia z tym Stefankiem tu schodzi. Mogliby się również dobrze zejść w pokoju przyległym, po za sceną; dopiero w połowie tej równie banalnej jak długiej rozmowy zaczyna się splątywać kwestya wieczystego smutku pana Stefankowego.

Stefanek przypomina sobie, że z matką jego było coś niewyraźnego; ale wreszcie, aczkolwiek jako uczony ma pewne prawa do niezgrabności, pada do stóp Cesi i kiedy uścisk zamienia ich w grupę zachwytu, zjawia się lekarz i matka, patrzą patetycznie na tę grupę i mówią o niej niemniej patetycznie. Cesia, której zadaniem życiowem jest rozweselenie Stefanka, wychodzi nareszcie; Stefanek, którego bodźcem moralnym jest wiara w świętość matki, idzie na ucztę kawalerską, doktór z bakteryologiem na bankiet, pozostaje na scenie tylko matka, która ten nudny akt ma zakończyć jakimś ożywczym frazesem, ogniem bengalskim tłumionego wybuchu. Autor jednak czuje, że to tylko frazes, więc wykrztusić go nie może. W takich wypadkach niema jak fortepian, a na fortepianie Chopin. Ponieważ biedna Walentyna z żony bakteryologa zeszła na guwernantkę Stefanka, zaczyna więc grać t. zw. „Gouvernanton-Nocturne“ Chopina, a myśląc o świętości, jaką jej Stefanek przypisuje, który nie wie, co to było z ową świętością przed siedemnastu laty, urywa i mówi: „No i któżby mniemał, że pochwała syna może być tak bolesną dla matki!“

Przed podniesieniem kurtyny zapytujemy mimowowolnie, co ma nam dać akt trzeci. Wiemy dotąd, że się mają odbyć dwie uczty. Lecz po co? Jaki ich związek z rogami bakteryologa i pokutą Walentyny? Śladu napięcia dramatycznego. tok gawędowy; równie dobrze mogliby biesiadnicy pojechać na Saską Kępę, jeżeli była odpowiednia pogoda. Niepokoi nas tylko to, że występują na scenę nowe całkiem postacie. Przeczuwamy niestety, że autor popełni fatalność konstrukcyjną. Chodzi przecież o punkt zwrotny! Zwrotu tego dokonywa ni mniej ni więcej tylko Deus ex machina. Jest nim zacny galicyanin, Artur Kręporzęcki, bardzo przypominający dyalektem i parafiańszczyzną ciotkę z „Artykułu 264.“ Bogu ducha winien znalazł się na uczcie przypadkiem. Przy tej sposobności zaznaczamy, że bibka w gabinecie nie odznacza się niczem oryginalnem. A jakże blada jest wobec takiej bibki z powieści Sygietyńskiego p. t. „Wysadzony z siodła“! Jużeśmy tak trochę zapomnieli, co to za strapienia miał bakteryolog z żoną w pierwszym akcie; upłynęło lat siedemnaście, Stefanek na dobrą sprawę mógł był już nie pamiętać, że gdzieś niegdyś za jego dziecinnych lat matka - biedaczka musiała leczyć się za granicą. Wtem pijany galicyanin zaczyna pod koniec bibki opowiadać, że ojca jego przed siedemnastu laty zbałamuciła jakaś warszawianka, która miała syna Stefanka, a na imię Walentyna. Ma nawet dokument: list jej do ojca. Stefuncio nagle zaczyna się zachowywać, jak gdyby był włoskim kochankiem, a matka niewierną narzeczoną. Kombinuje błyskawicznie: siedemnaście lat, Walentyna, synek Stefanek — źle! Pokaż-no jeszcze, bratku, list, a wtedy wiara w świętość matki pryśnie, jak bańka mydlana. Lecz do galicyanina przyskakuje przyjaciel Stefanka, Wacław i w kilku słowach wyjaśnia mu, dlaczego tego dokumentu Stefanek oglądać nie powinien. Rozpoczyna się scena, przypominająca zupełnie proces Zoli. Stefanek miota się jak Labori, żądając okazania tajemniczego dossier, armia kolegów nie odpowiada mu na żadne pytania i nie pozwala na ujawnienie dokumentu; zjawia się generalicya w postaci bakteryologa i lekarza Pobielskiego, którzy ogarnąwszy okiem sytuacyę i dowiedziawszy się, jak sprawy stoją, dochodzą do wniosku, że rewizya procesu Walentyny jest nieunikniona. Akt kończy się w ten sposób, iż Stefanek pod opieką lekarza wraca do domu, a ojciec spieszy naprzód, aby uprzedzić żonę, że wobec Stefanka nie można dłużej ukrywać, iż mu przed siedemnastu laty rogi przypięto. Akt czwarty. Walentyna przy fortepianie, zegar bije drugą po północy, do pokoju wchodzi bakteryolog groźny jak chmura, mająca zagrzmieć. Walentyna z pierwszych jego słów dowiaduje się, że ze Stefankiem źle. Niepokój macierzyński wybucha szeregiem typowo - banalnych wykrzykników: „Stefanek? Mów! Zachorował? Umarł? Nie żyje?“ Żyje, odpowiada mąż, ale wie o „wszystkiem.“ Walentyna rozpacza. Na nic tyloletnia pokuta, na nic łzy, fatum żąda ofiary, będzie ją miało. Odchodzę do twego laboratoryum— mówi znacząco. Zjawia się Stefanek, wierzący jeszcze w świętość matki; lecz ojciec otwiera mu oczy. Stefanek zaczyna rozpaczać, a ponieważ ojciec prosi go, aby nie rozpaczał, tylko zastanowił się, więc się zastanawia i dochodzi do następujących wniosków: wiara w świętość macierzyńską jest fikcyą; ojciec, którego żona bodaj raz się „puściła,“ nie powinien syna kształcić na uczonego; z Cesią niema się co żenić. Śród tych wybuchów zjawia się matka. Syn odwrócony do niej półbokiem. Następuje korona melodramatu. Walentyna zjawia się już po zażyciu trucizny, rozbraja nieco syna i żąda, aby Stefanek przy niej list ów przeczytał. Z listu tego dowiaduje się Stefanek, że aczkolwiek matka zdradziła ojca, kochała jednak syna namiętnie i dla niego tylko powróciła w progi małżeńskie. Skończyło się czytanie listu i matka oddaje się pod sąd syna, żebrze u jego stóp przebaczenia. Scena ta jest jedną z najnędzniejszych fars pseudo-dramatycznych, godna Rinaldiniego Vulpiusa. Jest ona kłamstwem, kłamstwem i po raz trzeci kłamstwem. Kobieta, która nigdy nie zaznała miłości małżeńskiej, która przed siedemnastu laty pokochała wprawdzie obcego człowieka, lecz według samego Zalewskiego uczuciem szczytnem, która dla miłości syna zerwała ten stosunek, powróciła do gardzącego nią męża, przez siedemnaście lat była najczulszą matką, matką poświęcającą się dla syna, więc ta hartowna kobieta ani chwilki nie protestuje przeciw głupocie otoczenia? A ten syn, który przez siedemnaście lat odbierał od niej dowody najczulszego przywiązania, dopiero z listu wyciąga wniosek, że kochającej matki sądzić nie należy? On, w takiej chwili, znajduje siłę do czytania łokciowego listu na głos wobec tej matki? I to ma być uczony, myśliciel? To jakiś trubadur zwaryowany, ale nie człowiek, którego nauka wynosi po nad tuzinkowe morały. Syn ten ni stąd, ni zowąd nosi się z ową świętością matki, jak z jakimś podejrzanym banknotem. Czemu? Na jakiej zasadzie? Podobnej sceny Zalewski nie widział, zrobił najniesmaczniejszy eksperyment, przeciwko któremu oburza się cała nasza dusza, bo nie odczuwa wrażenia prawdy w tym strasznym obrazie. Starcie dramatyczne charakterów polega na tem, że każda strona popełnia odstępstwa od prostej drogi z silną wiarą, że tak postąpić musi. W tym wypadku nie widzimy właściwie racyi szaleństw rozpacznych syna, a matka mogłaby się doskonale nie truć. Zatem sceny tej strasznej nie usprawiedliwiają pobudki, które moglibyśmy odczuć, zrozumieć i za naturalne uważać. Nie twierdzę, aby podobnych faktów u nas być nie mogło; twierdzę natomiast, że tragedya taka zupełnie inaczej rozegrać się musiała. Zalewski nie dorósł do kreślenia podobnych starć, postępuje z publicznością jak gracz, liczący na talenty aktorów, które zdołają pokryć brak intuicyi, brak uczuć ludzkich, brak zrozumienia dla prawdziwych tragedyj, jakie wstrząsają obyczajowem życiem naszego społeczeństwa. Pisze takie sceny na zimno, kiedy od nich włosy na głowie wstawać powinny; pisze, jak się to mówi, z głowy i to z głowy, która szumi dwudziestopięcioletnimi laurami ojca komedyi polskiej! Zbliża się chwila śmierci Walentyny, gdyż trucizna poczyna działać. Zalewski nie przepuszcza żadnego błędu, popełnia wszystkie. Wszakże obecnym jest lekarz! Nie mówimy o mężu, bo ten ma mieć kamienne serce, ale lekarz! Lekarz prawdziwy, nie lekarz z tekturki, postępuje w takich razach w ten sposób: macha ręką na wszystkie dramaty i melodramaty, nie pyta, czy lepiej i moralniej, aby pacyentka usunęła się z tego świata, tylko rzuca się do ratowania jej. Czy ją zdoła uratować, to inna sprawa; ale nie wolno mu być biernym i tresura zawodowego wychowania nie dopuszcza tej bierności. Doktór Pobielski postępuje jak aktor, udający niezręcznie lekarza, ale nie jak lekarz. Wraz z bakteryologiem godzi się na spisanie aktu zejścia śmiercią naturalną. Cała ta scena jest nietylko niezgodna z życiem, ale i z charakterem samego Pobielskiego, który przecież ustawicznie protestował przeciw nieludzkiemu egoizmowi bakteryologa.

Pobielski sprowadza w ciągu ostatniego aktu Cesię. Umierająca Walentyna wymaga od Stefanka przysięgi, że się z Cesią w najbliższym czasie pobierze, nawet w razie żałoby. Komiczne wrażenie wywiera przysięga zapłakanego Stefanka; niemniej komiczne zachowanie się Cesi, która wpadła w tę chryję rodzinną, jak Piłat w Credo.

„Ogniwa“ wywierają wrażenie tetralogii, złożonej z czterech jednoaktówek. Są to cztery odległe od siebie sceny, zszyte ordynarną dratwą inscenizacyi. W każdym akcie inna osoba jest bohaterem. Temat taki możnaby od biedy ująć w jakąś bezpretensyonalną nowelkę; tymczasem powitano go z honorami dramatu współczesnego. Plutonik literackich popleczników Zalewskiego zagrzmi hymnem pochwalnym, obrzuci jego utwór kwiatami kłamanego zachwytu, będzie wmawiać w publiczność, że stary lew drgnął na nowo. Ale to wszystko na nic się nie zda. Przyszłość zapomni o melodramatach tego ojca komedyi polskiej i może dziwić się będzie czasom obecnym, że w nich znajdowały zadowolenie estetyczne.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

Mróz.

Mróz! Mróz! Chwycił świat cały w lodowate kleszcze,
Zbielała, jak trup — ziemia. W zenicie wysoko
Niby łzami zaszklone tkwi księżyca oko,
I gwiazd, i drogi mlecznej stygną złote deszcze.
W strzępach chmury zakrzepły — nieruchome dziwne,
To nie chmury — to ciała zmrożonych aniołów,
Które w locie ku niebu stwardniały na ołów
I wiszą śród gwiazd skrzydła rozpostarłszy sztywno.
Cicho, aż w uszach dzwoni! Przez śnieg zwolna kroczy
Posępny, dziki olbrzym: posiniałe usta,
Twarz lodowato-zimna, obłąkane oczy...
„Sam — szepcze — sam, tam idę! — drogę w lodach wiercę!
Za mną, ze mną, przede mną — nikt! pierś moja pusta!
Nie mam serca! wystygło! Gdzie jest moje serce?
Wystygło w egoizmie, w orgiach upojenia!

Oddałbym wszystko dzisiaj za jeden dreszcz ciepła,
Za jeden dźwięk śród martwej ciszy przyrodzenia...
Nieruchomość! Śmierć wkoło! Biała, zwarta, tęga
Skrzy się ziemia. W koronach mielonego srebra
Milczące, twarde, suche sterczą lasów żebra
I leży kryształowa, sztywna rzeki wstęga.
Cicho... aż w uszach dzwoni! a po przez lawiny
Słania się dalej olbrzym wybladły, jak chusta,
Brnie przez śniegów i lodów oślizłe kobierce,
Zakrzepłą łzę ma w oku, na czole znak siny,
Pierś oburącz przyciska — szepcząc: „pusta! pusta!
Niema serca! Wystygło! Gdzie jest moje serce!?“

Gustaw Daniłowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Spadkobiercy hr. Kanitza. — Projekt podniesienia dochodów ziemiańskich za pomocą upaństwowienia wypieku chleba.—Oszczędności, wypływające z centralizacyi piekarni. — Projekty Tilla i Weichs Glona. — Kilka uwag.

Potrzeba jest matką wynalazków. Ziemianie europejscy jak gdyby uwzięli się dowieść rzetelności tego starodawnego przysłowia. Zagrożeni współzawodnictwem zboża i wogóle produktów rolnych zamorskich, szukają oni na wszystkie strony środków podniesienia spadającej stopy dochodów, pobieranych z ziemi. Przed kilku laty, w osobie hr. Kanitza, posunęli się oni do żądania, ażeby państwo zaprowadziło monopol w handlu zbożem, tj. ażeby tylko organizacyi państwowej służyło prawo czynienia zakupów zboża zagranicznego. Rolnikom niemieckim chodziło o to, ażeby w ten sposób usunąć konkurencyę obcokrajową na rynkach wewnętrznych, domagali się oni bowiem taksy dla zboża, zakupionego przez państwo i następnie przez nie sprzedawanego - taksy, któraby była dostatecznie wysoka, ażeby podnieść cenę zboża krajowego na rynku i przywrócić dochody z majątków ziemskich do dawnego poziomu. Projekt ten nie utrzymał się w parlamencie. Nawet przedstawiciele rządu pruskiego, tak przychylnie usposobieni dla interesów ziemiańskich, nie odważyli się poprzeć wniosku hr. Kanitza, zmierzającego do podrożenia cen zboża i w dalszym ciągu pieczywa nietylko dla ludności miejskiej, ale także dla tych odłamów wiejskich, które utrzymują się z najmu rąk swoich. I sami rolnicy niemieccy po pewnym czasie zrozumieli, iż żądania ich nie mają widoków urzeczywistnienia, tj. że oni sami nie posiadają dostatecznej siły w społeczeństwie, ażeby narzucić rodakom uiszczanie haraczu, rocznie dosięgającego kilkuset milionów marek.

Ale rozstawszy się z projektem monopolu zbożowego, a przynajmniej usunąwszy go z pośród pomysłów praktycznych, bynajmniej nie porzucili oni chęci podniesienia upadającej stopy dochodów z ziemi za pośrednictwem jedynej potęgi społecznej, zdolnej tego dokonać — maszyny państwowej. Mamy właśnie przed sobą inne rojenia w tym samym kierunku. Może zresztą niewłaściwie wiążemy te ostatnie z usiłowaniami ziemian niemieckich, gdyż pojawiły się one w innym kraju, w Austryi. Ale stosunek powien, bądź co bądź, istnieje, hr. Kanitz nauczył rolników cenić pomoc państwową, i nowy projekt również usiłuje skorzystać z tej siły dla podniesienia zagrożonego dobrobytu ziemiańskiego. Lecz doświadczenie ziemian niemieckich nauczyło Austryaków być ostrożniejszymi, mianowicie szukać rozwiązania na nowej drodze, w sposób, nienakładający haraczu na ludność miejską, przecież podnoszący ceny zboża. Zadanie, które postanowili oni rozstrzygnąć, brzmi z pozoru dość dziwnie: trzeba wywołać zwyżkę kursów zboża, ale tak, ażeby nie podnieść ceny chleba. Zdawałoby się, iż jest to rzeczą niemożliwą do uskutecznienia. Ceny pieczywa zmieniają się mniej więcej równolegle z cenami zboża, przynajmniej zawsze tak bywa, gdy te ostatnie podnoszą się, bo co dotyczy spadku cen zboża, to pieczywo opóźnia się w ruchu zniżkowym, wywołanym przez tamto. Lecz, jakeśmy nadmienili, potrzeba jest matką wynalazków, i ziemianie, pod naciskiem życia, umieli wynaleźć środek, nieznoszący wprawdzie tej współrzędności cen, ale przecież dopinający dwóch celów, tak pozornie sprzecznych: podrożenia chleba i stanienia pieczywa.

Reforma, która ma wydać takie skutki dodatnie, polega na upaństwowieniu procederu piekarskiego. Projekt w tej mierze został wypowiedziany przez niejakiego Tilla *), oraz barona Weichs-Glon. Obaj wychodzą z tego założenia, że prowadzenie procederu w wielkich rozmiarach sprawi takie oszczędności, iż pomimo sztucznie wywołanego naówczas podniesienia cen zboża ceny pieczywa nietylko nie podniosą się, ale spadną. Punkt ciężkości całego dowodzenia tkwi właśnie w wykazaniu możliwości takiego zmniejszenia kosztów wypieku. Tutaj winniśmy zaznaczyć, iż myśl to nie nowa. W r. 1885 w radzie municypalnej paryskiej wniesiono projekt, ażeby miasto wzięło na siebie wypiek chleba. Okazało się, iż zamiast 1,800 piekarzy, z których wielu wytwarzało dziennie zaledwie po 200—250 kilogramów chleba, można będzie poprzestać na dziesięciu wielkich zakładach, rozmieszczonych w odpowiedni sposób na przestrzeni Paryża. Obliczono, że oszczędności, wypływające jedynie z centralizacyi wysiłków ludzkich, lokalu, opału itd., wyniosą dziennie dla całej stolicy aż dziesięć tysięcy franków. Tak działa centralizacya! A jednak w powyższym obrachunku nie uwzględniono postępu technicznego, polegającego na zastosowaniu do wypieku maszyn automatów, niemożliwych w drobnym procederze.

Przyjrzyjmy się faktom i wywodom.

Till jest właścicielem młyna parowego i piekarni w mieście Bruck w Styryi. Posiada więc, możnaby mniemać, należytą kompetencyę dla wydania sądu o możliwości obniżenia kosztów zamiany zboża na chleb. Usiłuje on wykazać, że przy zastosowaniu odpowiednich ulepszeń koszta wypieku chleba pszennego mogą być sprowadzone do jednej trzeciej, żytniego zaś do jednej czwartej nakładów obecnych. Tylko co przytoczyliśmy obliczenia, dokonane przez radę municypalną paryską. Lecz Till do użytych tam obrachunków, stosowanych przez ludzi, których można podejrzywać o pewną przesadę, dodał inne, oparte na dokładniejszej znajomości fachu. Zwraca on przedewszystkiem uwagę na to, iż pieczywo należy do produktów, które z konieczności muszą być przygotowywane w pobliżu spożywcy, bo nie nadaje się ono ani do długiego przechowywania, ani do przewozu, jeśli nie ma utracić pewnych przymiotów. Skutkiem tego piekarstwo stanowi jeden z najwybitniejszych monopolów miejscowych i piekarze w większości wypadków zawsze dochodzą do porozumienia wzajemnego z uszczerbkiem dla spożywców: układają się co do wagi, jakości i taksy chleba. Jak wszelcy monopoliści nietylko nie dbają oni o ulepszenia hygieniczne w warsztatach, ale także o udoskonalenia techniczne metod wypieku. W ciągu wieków niepodobna wskazać najmniejszego postępu w sposobach produkcyi chleba; jest to gałąź przemysłu, obca duchowi doświadczeń. Piekarz prowadzi rzemiosło jako rutynista niepoprawny, nieznając podstawy procesów fizycznych i chemicznych, dzięki którym surowe ciasto zamienia się na wypieczone. Liebig niegdyś odezwał się, iż piekarstwo jest jedynym fachem, który pozostał po za obrębem techniki cywilizowanej, a zdanie jego zachowało całą wartość swoją i w chwili obecnej. W zawodzie tym wszędzie przeważa jeszcze drobna produkcya. Dość wziąć Niemcy. Statystyka z r. 1882 wykazała, iż w kraju tym istniało 47 tysięcy piekarni, zatrudniających przeciętnie każda 2,2 osób. Anglia przedstawia obraz stosunkowo większej centralizacyi, w r. 1891 na pojedynczą piekarnię przypadało tam 4 osoby. Rozmiary wciąż są więc względnie nieznaczne i od takich drobnych warsztatów nie można spodziewać się ani stosowania lepszych metod produkcyi, ani użycia wydajniejszych narzędzi. Pieczywo jest więc drogiem i złem. Tymczasem nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż rzemiosło to, poprowadzone w wielkich rozmiarach, pozwoliłoby na otrzymanie bardzo znacznych oszczędności. Piekarnia syndykalna w Roubaix złożyła w r. 1884 rządowi francuskiemu sprawozdanie o możliwych skutkach centralizacyi wypieku. Okazuje się, iż koszta wynoszą:

	kgr. pieczywa	franków	jeden kgr. franków
dla	200,000	12,000	6 5
„	400,000	20,000	5,0
„	800,000	30,000	3,87
„	1,200,000	34,800	3,48

Również wymowne świadectwo składają rezultaty, otrzymane przez stowarzyszenia spożywcze belgijskie. Syndykat *Maison du peuple* w ciągu półrocza 1894—5 otrzymał z wypieku, przedstawiającego ogólną wartość około 600 tysięcy franków, aż 104 tysięcy fr. czystego dochodu, tj. 18%, tymczasem inne gałęzie (sprzedaż towarów korzennych, restauracya, młyn itd.) przyniosły tylko 4% dochodu! Dodajmy, że wymieniona instytucya w piekarni swojej zaprowadziła ośmiogodzinny dzień roboczy i że wynagradza pracujących lepiej, niż piekarnie prywatne. I syndykat spożywcy *Vooruit* w Gandawie, obejmujący sześć tysięcy rodzin, może pochwalić się podobnemi rezultatami. W okresie czasu, datami którego Till rozporządzał, piekarnia dała 11% czystego dochodu, inne zaś gałęzie (wyrób ubrań i bielizny, sprzedaż produktów korzennych, restauracya, apteka) tylko 7%. Wobec tych faktów Till domaga się, ażeby państwo wzięło w swoje ręce wypiek chleba, usunęło tam panujące nadużycia hygieniczne i zaprowadziwszy centralizacyę, dokonało możliwych ulepszeń, które umożliwią tani chleb. Do faktów, przytoczonych przez przemysłowca austryackiego, dodamy jeszcze jeden, wzięty z Roubaix. Stowarzyszenie spożywcze, istniejące w tem mieście, może dostarczać kilogram pieczywa po cenie tylko o 5 centimów wyższej po nad kilogram zboża. W sierpniu zeszłego roku (ostatni miesiąc, z którego mamy dane statystyczne) kilogram zboża kosztował 27,28 centimów, piekarnie prywatne sprzedawały kilogram chleba po 40 centimów, stowarzyszenie zaś spożywcze po 33! Społeczeństwo może więc otrzymywać tani chleb, tj. w tej samej cenie, co dzisiaj, a przecież rolnicy — dostawać daleko wyższe ceny za zboże. „Niechaj państwo — powiada Till — corocznie wyznacza ceny na zboże lub zatwierdza te, które posłużyły za podstawę dla obrachunku podatku grun-

*) Patrz *Revue d'economie politique.* 1897, kwiecień, artykuł Tilla „Etatisation de la boulangerie,“ i listopad „la Municipalisation de la boulangerie.“

towego, niechaj zakupuje wszystko zboże, wyprodukowane przez ziemian w kraju, oraz pokrywa niedobór zakupami zagranicą i niechaj nadto zajmie się wypiekiem chleba. zrzekłszy się wszelkich korzyści materyalnych, z takiego źródła płynących."

Weichs-Glon wystąpił przeciw temu projektowi, dokładniej: przeciw zamiarowi upaństwowienia procederu. Zresztą nie jest on przeciwnikiem stanowczym proponowanej reformy, lecz tylko sposobów jej urzeczywistnienia. Uważa on upaństwowienie wypieku za niestosowne, gdyż stworzyłoby ciężką i nieruchliwą maszyneryę, i mniema, że raczej należałoby poruczyć kierownictwo nad rzemiosłem piekarskiem radom municypalnym. Państwo zaciągnęłoby w tym celu pożyczkę, którą umorzyłoby w dostatecznie długim przeciągu czasu, i za otrzymane w ten sposób fundusze zbudowałoby olbrzymie warsztaty wypieku chleba według wszelkich wskazówek techniki nowoczesnej, przyczem założyłoby specyalne szkoły piekarskie i laboratorya dla przygotowywania potrzebnych fachowców i dalszych ulepszeń. Wybudowane piekarnie oddanoby radom municypalnym. Stanowiłyby one urządzenie obowiązkowe dla miast, posiadających więcej, niż tysiąc mieszkańców, lecz w mniejszych ogniskach rzecz zależałaby od dobrej woli zarządu miejscowego. Istniejące piekarnie prywatne zostałyby wykupione, chyba, iż właściciele nie przystaliby na to. Naówczas mieliby prawo prowadzić dotychczasowy swój proceder w dalszym ciągu, co jest zresztą wątpliwem, gdyż wobec współzawodnictwa ze strony taniego pieczywa municypalnego nie zdołaliby wyjść na swoje. Chodzi tylko o to, jakim sposobem reforma ta zdołałaby oddziałać na ceny zboża w kierunku zwyżki. Weichs-Glon żąda, ażeby piekarnie mogły wypiekać chleb tylko ze zboża krajowego. W ten sposób rynek wewnętrzny na zboże zostałby zupełnie wyodrębniony z pośród wpływów konjunktur międzynarodowych: ceny byłyby dyktowane nie przez giełdę w Nowym Yorku, ani przez spekulantów miejscowych, tylko przez wytwórców. Rynek na zboże zostałby unormowany i zorganizowany; rolnicy zaś, powiązani w syndykaty, mogliby wyznaczać kursy z korzyścią dla siebie i bez szkody dla spożywców, otrzymujących dzięki ulepszeniom chleb nie droższy, niż w chwili obecnej.

Trudno zapuszczać się w drobiazgi wywodów projektodawcy, nieraz bardzo charakterystyczne: interes klasowy ziemian ujawnia się tam na każdej stronicy. Mniema on np., że gdyby dochody z piekarni municypalnych nie pokrywały rat, przeznaczonych na umorzenie długu państwowego i opłatę przypadających procentów, naówczas państwo powinno nałożyć specyalny podatek według zasady postępowej z dochodów. Również, ażeby wybudowanie piekarni kosztowało mniejszą sumę, projektuje, iż należałoby użyć pracy więźniów!

Podając wiadomość o projektach Tilla i Weichs-Glona, nie przypisujemy im żadnej większej doniosłości praktycznej, wątpimy bowiem stanowczo o możliwości prędkiego urzeczywistnienia któregokolwiek z nich, zwłaszcza z tych pobudek, dla których podniesiono sprawę. Życie pcha w tym kierunku w inny sposób. Stowarzyszenia spożywcze i może kilka rad municypalnych, między niemi pampeluńska na półwyspie Pirenejskim, wkroczyły na tę drogę i założyły własne udoskonalone piekarnie. O ile ten przykład znajdzie naśladowców i rozszerzy się, nie będziemy przesądzali. W niektórych okolicach Francyi prowincyonalne syndykaty rolne zamyślają o czemś podobnem, chociaż dla innych powodów: nie chodzi im, jak stowarzyszeniom spożywczym, o zniżkę cen pieczywa, lecz o zagarnięcie dochodów piekarza do kieszeni ziemiańskiej i o zapewnienie rynków zbytu. Lecz wszelkie próby w tym kierunku są bardzo nieliczne i, jak dotychczas, posiadają one jedno tylko znaczenie, mianowicie wykazały możliwość znacznych oszczędności przy prowadzeniu procederów piekarskich w większym rozmiarze. Natomiast zasługuje na uwagę duch, właściwy projektowiczom. Mniemają oni, że rolnicy stanowią uprzywilejowaną warstwę w społeczeństwie i że państwo powinno starać się o podniesienie skali dochodów ziemiańskich. Ciekawa rzecz, do czego to doprowadziłoby, gdyby i inne grupy wytwórców wystąpiły z podobnem żądaniem! Weichs-Glon posuwa się nawet tak daleko, iż wymaga w potrzebie nałożenia specyalnego podatku dla pokrycia pożyczki, użytej na wzniesienie piekarni municypalnych. Innemi słowy, uważa on za właściwe narzucenie społeczeństwu pewnego haraczu, byleby tylko rolnicy doznali podniesienia cen zboża. Wprawdzie, projekty oba ustępują, co do zarozumiałości i sobkostwa, wymaganiom br. Kanitza, ale i w nich pozostało się sporo tego pierwiastku. Cała rzecz, iż dla względów praktycznych uznały one za potrzebne liczyć się z interesem spożywców.

K. R. Ż.

O PRAWDĘ.

Życie studenckie i ideały.

III.

Krytyka korporacyi jest dozwoloną, ale... w statutach. Spróbujmy przekonać się o tem i zabierzmy głos w Kole. Lepiej jednak nie próbować: jak jeden mąż stanie cała falanga „patryotów-korporantów" i zagłuszy śmiałka. Naprzód prezes powie, że *konstatować* nie wolno, następnie Koło skonstatuje swoją obrazę, każe się przeprosić i wydali na jakiś czas bluźniercę ze swego grona. Lecz pomijając osobistą przykrość, napotkamy inne trudności.

Zmiana paragrafu statutu wymaga znacznej większości ($^{4}/_{5}$ wszystkich członków Koła), nowy zaś paragraf wprowadzony być może dopiero za zgodą $^{6}/_{8}$. Obwarowanie nie do zdobycia, jeśli zważymy zwykłą duchowi ludzkiemu odporność przeciw inowacyom.

Sprawy, poruszane w Kołach, są niezmiernie błahe, a już w każdym razie nie dotyczą życiowego wyrobienia jednostek. Smutno jest patrzeć na tę młodzież, która drobiazgi stawia na pierwszym planie, oddaje im się zupełnie, przejmuje się nimi w przekonaniu, że godnie spełnia obowiązki względem społeczeństwa, że dokłada dużo cementu do ogólnej budowy. Opowiada się o powstaniu korporacyi, o jej urządzeniach, o „krwawych" i „niekrwawych" mensurach (pojedynkach), o awanturach i awanturkach weteranów-barwiarzy; o tem, że ta korporacya, do której kandydat wstąpił, jest najlepsza, ale że to przekonanie nie powinno być wyjawiane członkowi innej, o tem, jakie są formy wyzywania na pojedynek. Następnie „napompowywa" się kandydata różnemi radami i wskazówkami praktycznemi, prawi mu się wiele o honorze korporacyjnym, wpaja się w niego przekonanie, że krytyka ustaw stowarzyszenia jest niewłaściwą, a nawet szkodliwą, bo wskutek niej nic lepszego by się nie wytworzyło. Następują nieskończone opowiadania, jak ten i ów dostał barwy i jak obchodził tę uroczystość. O, bo ta chwila jest w życiu korporanta epoką, którą się odpowiednio zaznacza przez t. zw. „oblanie" i szaloną hulankę. Trudno poznać młodego człowieka już po roku pobytu w stowarzyszeniu. Będzie rozprawiał z tajemniczą miną, co to oni tam robią, jak godne posiadają instytucye, jak wyrabiają młodzież na ludzi itp. I każdy z postępem czasu podszywa „bladym strachem swój płaszcz purpurowy," nakłada pantofle i szlafmycę, a grzejąc się przy kominku, wygłasza od czasu do czasu szumne frazesy o swojej działalności dla społeczeństwa, w silnem przekonaniu, że spełnia obowiązek społeczny: „my też orzemy." Już choćby główniejsze urzędy, spełniane honorowo: prezesi, wiceprezesi i sekretarze Koła, wydziału finansowego, sądowego, wewnętrznego i zewnętrznego, koła delegatów, sądu ogólno-studenckiego (Burschen Gericht), komisyi naukowej, bibliotekarz, kontroler kuchenny, mistrz zebrań towarzyskich, mistrz śpiewu, mistrz fechtunku, główny kasyer, główny buchalter itd. Słowem, wystawa wielkich ludzi. Smutniej jeszcze przedstawi się wpływ moralny, jaki wywiera takie izolowanie Koła od kandydatów. Trzeba wziąć pod uwagę przedewszystkiem stosunki, jakie panują w Rydze. Tutaj na każdym kroku kandydat uważany jest za smarkacza bez głosu, bez przeszłości, słowem, za zero. Każda panna w towarzystwie ma sobie za obowiązek, nie zawsze może dyskretnie, a w każdym razie żenująco dla młodego człowieka, zapytać, czemu barw jeszcze nie dostał lub czy prędko je dostanie. Nawet w politechnice mają one swoje znaczenie: profesorowie (zwykle byli korporanci) patrzą łaskawszem okiem na ubarwionego. Dlatego „dyplomandzi," wydaleni z Koła (a tem samem pozbawieni barw) proszą, aby im pozwolono ubarwić się na czas egzaminów. Lecz pocóż daleko szukać. Jak często sami rodzice pytają synów o przyczynę zbyt długiej kandydatury, martwiąc się, nieraz przykre nawet czyniąc mu uwagi, że nie potrafił zasłużyć na uznanie i zaufanie koleżeńskie. Wreszcie sam on nieraz w głowę zachodzi, co może być tego przyczyną. Zmusza go to do usilnego starania, aby zasłużyć na nagrodę. Nakłada maskę, ubiera się w uśmiech i słodkie słowa dla barwiarza, statutów, zwyczajów i wszystkiego, co tchnie korporacyjną lojalnością. Chętnie zapomina nieraz o godności swojej, jeżeli tem zdobyć może jedną dobrą kreskę więcej. Dla osiągnięcia swych marzeń tłumi nieraz wybuchy słusznego gniewu, chowa swe przekonania, niezgodne z przekonaniami ogółu, obiecując sobie w myśli, że po otrzymaniu barw powetuje jedno i drugie. Korporacya w danym razie przygotowywa do życia: uczy zginania karku przed silniejszym, kompromisów z własnem sumieniem. Czy jednak wyrabianie giętkich charakterów powinno być zadaniem związku młodzieży? Dość ludzi bez woli, charakteru, moralnych zer lub minusów — nam potrzeba silnych, niezłomnych, co nie ulękliby się przeciwności, co za sobą pociągnęliby innych.

Po próbie kandydatury korporacyjnej rzadko kto pozostanie sobą, wszystkie lepsze jednostki są zniechęcone do życia, bez woli, bez energii.

Rozważając prawa i obowiązki barwiarzy i kandydatów, zauważymy, że członek Koła rządzi, sądzi, zajmuje różne urzędy, jest prawdziwym obywatelem swego małego państwa-korporacyi. Kandydat, przeciwnie, pozbawiony jest wszystkiego. W jednym wypadku dopuszczony jest do głosowania, mianowicie w sprawie zatwierdzania budżetu wniesionego do koła, o którym on, jako zbyt mało znający stosunki, niewielkie może mieć pojęcie.

Rozpatrzmy pobieżnie obowiązki kandydata.

Musi on usługiwać przy wydawaniu obiadów, bo jeden służący stanowczo nie podołałby temu. Nie wszyscy jednak powoływani są do tej roli. Podług paragrafów statutu wolno jest naznaczać na dyżury przy obiadach tylko tych, co są pierwsze dwa lata w wyższym zakładzie naukowym, a więc przeważnie tylko kandydatom. Niechby kontroler kuchenny ośmielił się coś podobnego zaproponować któremu ze „starszych" kolegów. Tożby się ten na niego oburzył! Do obowiązków kandydatów należy zaliczyć t. zw. „cytacye," tj. zawiadamianie członków Koła lub całych korporacyj o posiedzeniach. Pozostaje jeszcze nadmienić o usługiwaniu podczas knajp wszelkiego rodzaju, o przywożeniu i odwożeniu różnych rzeczy, co bywa poczytywane za zasługę. Nikt tu nie rozkazuje*), o wszystko się prosi (w razie nieposłuszeństwa i grozi), ale znaczenie tej prośby czuje kandydat dobrze. Czuje on, że niezbyt szybkie, dokładne, niezbyt gorliwe spełnienie jej wywoła odpowiednią opinię w Kole, iż za mało przywiązany do stowarzyszenia. Więc patrzy się w oczy barwiarzowi, aby wyczytać myśl jego tajemną lub życzenie i radość przenika jego serce, gdy spostrzeże, że trafił dobrze, a co ważniejsza, że uprzedził innych. O! bo ta-

*) § statutu brzmi: „Tak zwane „fuksowanie" jest surowo wzbronionem."

kie stosunki wytwarzają i szlachetną rywalizacye między kandydatami, gdzie często nie pomija się sposobności podstawienia koledze nogi w pogoni za... barwną czapeczką.

Stowarzyszenia polskie są miejscem, gdzie wzrasta i kwitnie dziś na kastowość, dająca się wyraźniej odczuć dopiero w życiu praktycznem. Korporant zawsze i wszędzie popierać będzie korporanta, czy to na urzędzie, czy w fabryce, bez względu na to, że mogą być inni kandydaci bardziej uzdolnieni i odpowiedniejsi. Lecz i to rozumieć należy jeszcze ściślej: welet poprze weleta, arkon — arkona.

Godnem uznania jest popieranie takich celów, jak pomnik Mickiewicza, odczyty z dziedziny przyrody w Muzeum (jedna z korporacyj ofiarowała znaczną sumę), ale zwrócić trzeba uwagę, *jakim kosztem* zdobywa się przyjemność figurowania na liście ofiarodawców. Tam, gdzie tyle funduszów potrzeba, aby zadowolić miejscowe potrzeby, gdzie młodzież wiąże się ze sobą w celach *pomocy* koleżeńskiej, wydawanie sum znacznych niezupełnie chyba odpowiada zasadniczej myśli korporacyi. Chęć błyszczenia dosięgła szczytu, gdy ostatnio jedna z korporacyj poświęciła *100 rs.* na sprawienie nowej tarczy z herbem stowarzyszenia, ponieważ dawna już się opatrzyła.

Kilka słów o „karyerach.“ Młodzieniec, przyjeżdżający do Rygi, dowiaduje się na samym wstępie, że pierwszym jego obowiązkiem po wstąpieniu do korporacyi jest „zrobić sobie karyerę“ tj. znajomość „w celu nauczenia się po niemiecku.“ Rozpoczyna się wałęsanie po ulicach, zaczepianie kobiet, „przystawianie się,“ „robienie karyery,“ zwykle pod opieką starszych, wytrawniejszych, co nazywa się „wprowadzaniem w świat.“ Pierwsze próby takiego „życia rodzinnego,“ z którego bynajmniej tajemnicy się nie robi, lecz, przeciwnie, rodzaj popisów, wpływać mogą tylko na obniżenie wymagań etycznych, na skażenie świeżości uczucia.

Przy sposobności potrącić trzeba pewną ujemną stronę stosunków korporantów do innych studentów, która nieraz zwichnęła przyszłość młodego człowieka. Chodzi tu o t. zw. Burschen-Gericht, tj. ogólno-studencki sąd, w skład którego wchodzą *tylko* korporanci, roszcząc jednak sobie prawo sądzenia i nie-korporantów, którzy w trybunale tym nietylko *nie mają* swoich przedstawicieli, ale nawet uczestników swoich (w danej sprawie) wybierać *muszą* z łona korporantów *). Skutkiem tego zdarza się, że student, nienależący do korporacyi, nie uznając nad sobą powagi i prawomocności takiego sądu, wówczas skazany bywa na ogólną *infamię*. I dlatego to na infamię ryską patrzeć należy inaczej, niż gdzieindziej, ponieważ karze tej podlegać mogą jednostki *uczciwe i honorowe*.

Powyższe obrazy nie wyczerpują zupełnie bogatego materyału, jaki przedstawia życie wewnętrzne w korporacyach polskich. Cel ich szlachetny i tak piękny, jak pięknymi są wstępy do ich statutów, ale, niestety, w życiu spaczony tak zupełnie, że naprawa jest możliwą tylko na gruzach obecnego ustroju. Prawda, mają one dobrą stronę, a tą jest wyrobienie do pewnego stopnia solidarności i koleżeństwa. Miło jest widzieć tę młodzież, tak solidarnie występującą ze sztandarami swymi w czasie różnych uroczystości, ale każdy się zgodzi, że tem nie powinny się ograniczać jej zadania.

Przy tak licznem zgromadzeniu, jakie stanowi korporacya, wyradza się życie nad stan (które jest chroniczną wadą wszystkich studentów ryskich); przy ciągłem obcowaniu zamożnych z biednymi, widząc, jak inni bawią się, piją i używają, my również zaczynamy robić to samo, bądź sami chcąc, bądź pociągnięci przez innych, bądź też żeby nie narazić się na śmieszność w razie odmowy, tem bardziej, że kolonia polska nieprzyzwyczajona jeszcze do tej myśli, iż mogą być studenci niezamożni. Ci, którzy łączą się z nią, muszą być przygotowani na tysiączne nadetatowe wydatki, chcąc uczynić zadość tak pochlebnej opinii — bogatych.

Zapytać ktoś może, dlaczego, skoro tak źle się dzieje, nie wystąpić z korporacyi? Dlaczego nie postarać się o naprawienie złego? Dlaczego dotychczas nie było wiadomem nic o życiu studentów ryskich?

1) Młody człowiek, oczarowany na wstępie gościnnem przyjęciem, swobodą i wesołością, tak silnie przyzwyczaja się do tego życia, że niepodobna mu rozstać się z kolegami i ze zwyczajami i narazić się opinii ryskiego społeczeństwa, które wszelkie wystąpienia ma za złe i piętnuje jako zdradę stanu. Spory korporacyjne tak ściśle wiążą się nieraz z jego życiem, że zbyt przykro byłoby rozstać się z niemi. Urzędy, które spełnia lub o posiadaniu których marzy, łechcą ambicyę, dają mu ułudę wielkiej pracy społecznej i filisterski spokój. Sądzi przytem, że gdyby wystąpił, toby zginął w tej pustce, jak ją sobie wyobraża, bez honoru, czci i pracy.

2) Wyżej wspomnieliśmy o obwarowaniu wszelkich inowacyj. Dodać trzeba formalistykę korporacyjną. Najbłahszy projekt podanym być winien na papierze (omal nie stemplowym). Koło odsyła go do odpowiedniego wydziału lub specyalnej komisyi, gdzie leży miesiące całe, jeżeli nie lata, i gdy zjawi się znów na porządku dziennym, bywa najczęściej spóźnionym lub staje się pastwą konserwatywnej większości.

3) Statut zastrzega, że o stowarzyszeniu żadnemu z członków nie wolno mówić źle przed osobami postronnemi. Za przekroczenie tego paragrafu jest wyrzucanym z koła lub korporacyi.

Celem szkicu niniejszego jest możliwie bezstronne przedstawienie rzeczywistego stanu rzeczy i bynajmniej nie chęć złośliwego ośmieszania, lecz poważnego wytknięcia tego, co w skutkach może się okazać dla ogółu szkodliwem. Dlatego też ci, co wybierają się na studya do Rygi, powinni się dobrze zastanowić, zanim coś przedsięwezmą, a ci, których to najbliżej obchodzi, powinni postarać się o gruntowne zmiany, któreby życie w korporacyi skierowały na odpowiednie tory i „między nią a ogółem zadzierzgnęły węzły prawdziwej przyjaźni i otuchy.“

*) Np. w nieporozumieniu między korporantem i nie-korporantem (t. zw. „wilderem“), ten ostatni *nie może* sobie wybrać sędziego honorowego z pośród swoich przyjaciół, lecz *musi* udawać się w tej kwestyi z prośbą do korporanta, którego pierwszy raz widzi i poznaje.

W DALI.

Łomża. Członkowie miejscowej straży ochotniczej zwołali gorączkowe zebranie i zażądali wyborów. Dokonano je i z dawnej rady ani jednego członka ponownie nie wybrano. Skąd ta niechęć? — Oto gdzie ona się mieści według sprawozdania *Kuryera Warsz.*: „Najbliższym jej powodem stały się niesnaski pomiędzy radą a naczelnikiem, tendecyjnie objaśniane; głębsza zaś przyczyna tkwi w prawie zupełnem usunięciu się przedstawicieli t. zw. inteligencyi miejscowej z czynnych szeregów straży. Pierwszy zapał minął, moda przeszła i oto adwokatom, rejentom, lekarzom, aplikantom biurowym i t. p., lubo mają dosyć czasu wolnego od zajęć obowiązkowych, zbrakło jednak chęci na to, aby bodaj kilka razy do roku, ramię przy ramieniu, w mundurze i w kasku strażackim, z uczciwymi rzemieślnikami i niższymi urzędnikami dążyć społem do pożaru, aby życia i mienia bliźnich bronić. Ich czynny udział i koleżeństwo pod hasłem podniosłej(?) idei, która przyświeca straży ogniowej ochotniczej, potęgowałby, jak to dawniej bywało, każdy wpływ dobry, a paraliżowałby wpływy szkodliwe. Co się tyczy samej rady, nietylko ostatniej, ale i niektórych dawniejszych, to całe lata mijały, a panowie radcowie rzadko kiedy kontrolowali narzędzia do gaszenia pożaru, a jeszcze rzadziej bywali na próbach czyli ćwiczeniach straży. Zdarzył się nawet i taki rok, w którym ani jednego posiedzenia rady nie było.“ Nowa rada ma liczne sprawy do załatwienia: zabezpieczenie bytu strażaków i ich rodzin na wypadek choroby, kalectwa lub śmierci, wyjednanie stałego zasiłku z funduszów kasy miejskiej lub asekuracyjnych, na opędzenie potrzeb straży, gdyż wypłacany jej obecnie zasiłek w sumie trzydziestu kilku rs. rocznie (na smarowidła do sikawek) jest jakby ironią w porównaniu np. blizko z dziesięcioma tysiącami rs., które kasa miejska w Kielcach wydawała na płatną straż ogniową po rozwiązaniu ochotniczej; utworzenie stałego miejsca zarządu straży, gdyż dotychczas strażacy tylko pod gołem niebem mogą się porozumiewać ze swoją bezpośrednią zwierzchnością; urządzenie w tym samym lokalu czytelni pism i książek, traktujących o strażach ogniowych i gaszeniu pożarów wogóle, wreszcie stworzenie orkiestry strażackiej.

Petersburg. Miejscowy komitet opieki nad domami pracy i domami zarobkowymi, wydaje od listopada miesięcznik p.t. *Pomoc pracy* (*Trudowaja pomoszcz*). Zadaniem pisma jest rozważanie spraw, dotyczących dobroczynności wogóle. Komitet powyższy dostarcza pracy i zarobku ubogim. W tym celu albo sam zakłada albo udzielając zasiłku ułatwia zakładanie domów zarobkowych, (ze stałym warsztatem), przeznaczonych głównie do nauki rzemiosł lub w ogóle pracy ręcznej.—W *Grażdaninie* ks. Meszczerski pisze: „Dowiaduję się, iż na stanowisko zarządzającego kancelaryą generał-gubernatora w Wilnie został powołany p. Sudejkin, urzędnik ministeryum skarbu. Jeżeli wiadomość okaże się prawdziwą, cieszyć się trzeba. P. S. należy do tej nielicznej gruby ludzi wykształconych i czynnych, którzy, oprócz rozsądku i zdolności, posiadają szacowne przymioty duchowe: otwartość, szczerość i uczciwość. Nadto, po pierwszej zaraz rozmowie z nim odnosimy wrażenie zupełnej harmonii umysłu i serca. Wiadomość o tym wyborze rozjaśnia przyszłość gubernij Zachodnich barwną nadzieją istotnego odrodzenia i prawdziwej rusyfikacyi tego nieszczęsnego i pięknego kraju, po tak długoletnich niedomaganiach i nieporozumieniach.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Nowosti* donoszą, iż ministeryum oświaty nie czyni żadnych przeszkód w wydawaniu pozwoleń na odczyty ludowe z niknącymi obrazami, o ile pozwolenia takie nie doznają przeszkód ze strony miejscowej władzy naukowej.

— Opracowano ustawę kasy zapomogowo-oszczędnościowej techników warszawskich.

Szkoły. Dla wytworzenia nauczycieli szkół rolniczych niższych, będą otwarte kursy pedagogiczne między innymi przy szkole rolniczej w Marjem-Górce (gub. Mińska).

—Stała komisya do spraw wykształcenia technicznego uchwaliła wyjednać pozwolenie dla młodzieży, kończącej szkoły realne, wstępowania na wydziały uniwersytetów: fizyczno-matematyczny i lekarski.

— Pozwolono p. Karolowi Zawadzie szkołę ogrodniczą I-go rzędu przekształcić na praktyczną do przysposabiania robotników ogrodowych.

— Rada państwa zatwierdziła wniosek ministeryum oświaty w sprawie uwzględniania opłaty wpisowej, wniesionej przez ucznia szkoły średniej, przy przejściu do innej.

— Komisya do spraw wyższego szkolnictwa technicznego, utworzona w Towarzystwie technicznem petersburskiem, uchwaliła jednomyślnie postulaty następujące: 1) uniwersytety nie mogą pozostawać w związku ze szkolnictwem technicznem; zmiany programu wykładów na kursach wyższych oddziałałyby na kierunek uniwersytetów; 2) najlepszym typem szkolnictwa zawodowego jest politechnika; 3) tworzenie nowych politechnik nie powinno prowadzić za sobą zmian w zakładach już istniejących innych typów; 4) oprócz politechnik pożądane jest tworzenie w uniwersytetach nowych wydziałów technicznych, zwłaszcza chemicznych i elektrotechnicznych; 5) należy ustanowić łączność pomiędzy uniwersytetami a instytutami, ułatwiającą młodzieży uniwersyteckiej wiedzę technologiczną dla działalności praktycznej; 6) w szkołach średnich należy rozszerzyć wykłady matematyki, fizyki, chemii, rysunku. Uchwały powyższe Towarzystwo techniczne zatwierdziło.

Prasa. P. minister spraw wewnętrznych postanowił, z powodu naruszenia ustawy o cenzurze w art. „Powstanie króla żydowskiego przez króla izraelskiego,“ w nr. 6 czasopisma *Trud*, zabronić sprzedaży numerów pojedynczych tego organu.

— P minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić wydawnictwo gazety *Krymskij Wiestnik*.

— Kazano zawiesić wydawnictwo gazety *Niżegorodskij Listok*.

Zdrowie publiczne. Postanowiono rozszerzyć szpital w Tworkach kosztem 32,695 rs. Dzięki temu liczbę chorych można będzie zwiększyć o 50-ciu.

— W szpitalu św. Ducha w Warszawie otwarte będzie laboratoryum roentgenowskie kosztem 500 rubli.

— Stosownie do przedstawienia inspektora lekarskiego, lekarze miejscowi w szpitalach warszawskich będą mogli po ukończeniu trzylecia pozostawać na swoich stanowiskach nie dłużej nad rok jeden.

Koleje i komunikacye. Kolej Wiedeńska wprowadziła nowy podział brygad konduktorskich. Cała linia obsługiwaną będzie przez dwa oddziały: pierwszy między Warszawą a Piotrkowem, drugi—między Piotrkowem a Sosnowicami i Granicą. Oprócz służby pomocniczej, 130 konduktorów będzie przeniesionych do Piotrkowa. Dawno już należało to uczynić. Konduktorowie zbyt wilkie mieli dystanse i skutkiem tego w domu byli rzadkimi gośćmi. Ciągłe zaś czuwanie w drodze lub gorączkowe, urywane przesypianie się parogodzinne na stacyach nie dawało należytego wytchnienia wyczerpywało siły i przytomność.

— Dla dogodności mieszkańców siedzib letnich będą wprowadzone pociągi specyalne kolei obwodowej z dworca wiedeńskiego na nadwiślański i terespolski, tak ażeby trafiały tam na pociągi spacerowe. Koszt przejazdu III-kl. ma wynosić 6 kop.

Dobroczynność. Oddział Banku państwa w Grodnie zawiadomił warszawskie Towarzystwo dobroczynności o zapisie rs. 7,643 kop. 21, uczynionym przez Józefa Hanickiego, szlachcica z gub. Grodzieńskiej, na wsparcia według uznania tej instytucyi dla rodzin posyłających dzieci do szkół.

Przemysł i handel. Z Kłodawy donoszą do *Gaz. Kiel.*, że dawni szynkarze rozpoczęli na wielką skalę wyrób piwa rozynkowego, kwasu i miodu do picia, a nawet założyli wielką fabrykę wód gazowych.

— Izba skarbowa w Warszawie otrzymała rozporządzenie ministeryum skarbu, które zaleca, „ażeby kasy rządowe nie wypuszczały wcale w obieg biletów kredytowych rublowych i pięciorublowych, a nadto, żeby wedle możności ograniczyły wydawanie banknotów trzyrublowych i dziesięciorublowych.

Zmarli. Andrzej Cinciała, w Cieszynie na Szlązku austryackim. Imię jego ściśle jest związane z dziejami odrodzenia się Szlązaków polskich. Był założycielem *Tygodnika Cieszyńskiego*, przekształconego następnie na *Gwiazdkę Cieszyńską*. Przez długie lata stał na czele stowarzyszenia „Czytelni ludowej.“ Do wybitniejszych prac jego należą: „Pieśni ludu szlązkiego z okolic Cieszyna“ (wyd. Akademii um.), „Słownik prowincyonalizmów szlązkich“ (nagrodzony przez Akademię umiej. na konkursie im. Lindego).

— Aleksander Liezen Mayer, słynny malarz-ilustrator w Monachium.

— Stanisław Blumenfeld w Kijowie, muzyk-pianista i kompozytor, dyrektor miejscowej szkoły muzyczno-dramatycznej.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 Февраля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.